

MIESIĘCZNIK LITERACKI

AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 2 (366) Rok XXIX LUTY 2026 cena 10 zł (w tym 8%VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



Milena Czarda-Szypulska Dwie twarze I linoryt

Alina Rzepecka

Lęk wysokości

Wandzie Rutkiewicz

idziemy razem zboczem
pod moimi stopami osuwają się okruchy twojego istnienia
oddycham tobą a ty żywisz się moim lękiem
zobacz góro zdobywam cię
znaczę twój grzbiet myślą
o zwycięstwie rozgrzewam
Pięć Skarbnic Wielkiego Śniegu wiarą że do trzech razy

powietrze traci gęstość i zapach
z twoich szczelin czytam pod wiatr zapisane obcym
językiem ostrzeżenia

mówią o mnie *nieładzka*
a przecież jestem kobietą – góro
każda z nas ma swoje tajemnice
nie bój się nie opowiem nikomu
tylko pozwól mi z lodowej jaskini na najwyższej grani
spojrzeć

na własne życie

Tadeusz Zawadowski

za późno

coraz bardziej odchodzą w przeszłość imiona
przyjaciół ciepło dłoni na klamkach opuszczonych
mieszkań tytuły niezapisanych wierszy.

coraz bardziej za późno jakby nie starczyło samo
za późno szukamy do nich ścieżek.

coraz bardziej zapada się pamięć pode mną
jak fundamenty domu w którym pogrzebałem
dzieciństwo.

Barbara Dombrowska-Pietrzykowska

Mgła

Stopy odrywam od ziemi
kruszę się osypując kroplami na lód
wędruję po ciszy
korytarzami strachu
przez niespełnione oczekiwania

Nie tkam drogi dla komórek
nasyconych tlenem
kryształy lodu
haratają myśli kierowców
ich oczy błędzą
po podziurawionych obłokach

Na krawędzi kłębowiska
balansują chwile
być może ostatnie

Jestem mgłą



Milena Gazda-Szypulska Dwie twarze II linoryt

Marek S. Podborski

Tico

Czterech synów matka miała
z dumą rosło czterech synów
szkoła kościół letni popłoch
dom za duchem jaśminu
cztery serca w krwi rozdaniach
kręci śmierci zegar z lodu
sny urwane w niedospaniach
planów korowodu

Czterech synów matka miała
Janek widział wszystkich w Święta
a potem na zdjęciach w gazecie
żartowali że wnet mają
najlepszy widok na Świecie
tam jechali do szkół razem
auta lutowym poślizgiem
w łychę pługu rdzy ta ranem
w środę przed Popielcem

Czterech synów matka
miała czterech krwi
rozbryzgiem

☞05.02.2013 r. Kozłowo
koło Świecia nad Wisłą

Wojciech Trzciniński

Zawody

Biegł
Jakby było dokąd biec
Bo celem jest przecież
Niepojęty powrót do źródła

Choćby w ślepych gardle studni
Pochyłony mrok co odbija
Zstępujące obłoki

Choćby w podniesionym kamieniu
Szorstka krew od spodu
Wspominająca ofiary

Choćby w wywiniętej wardze
Wierna chciwość monety
Odslania zęby wilka

Biegł Pomimo niechęci
Do władz mocy i samego siebie
Chciał stawać w dobrych zawodach
Przeciw ciemności skręconych
w nim głodów

Niepewny
Czy dosięgnie perły switu

Dzban

Wrócił do punktu wyjścia, nie pierwszy raz, jak koń co spłoszony wraca do stajni, jak bocian z Afryki zawsze do tego gniazda. Wszystko bardzo znajome, a jednak inne i obce, więc wrócił, choć wcale nie chciał, nie parł – znów jest.

Parzył herbatę z limonką i szukał zaczepienia, zaczepienie daje poczucie przynależności, miejsce i funkcję, funkcja daje strukturę i wektor, wektor wyznacza kierunek, kierunek uwalnia od wyboru, wybór to zawsze dylemat. Po drodze demony, strzygi i gnomy, w postaciach efemerycznych zwierząt, na chwilę odsuwały pamięć w zauroczenie i graliśmy w hazard na życie, na śmiech, strach, na utajenie.

Po młodzieńczej bucie została noga w bucie, przydeptanym, schodzonym i znowu jest w punkcie wyjścia, chociaż tyle za nim drogi. To wszystko czym się karmił, mamił, pochłaniał, nie miało znaczenia, widział jak teraz inni radośnie rzucali się w wir ponęt, jak karleją i znikają, żeby kiedyś wrócić do pustego dzbana.

W pustym dzbanie odłamuje się echo, bardzo sieroce jak na przyjaciela. Dmuchałem w pustą otwór dzbana i wydobywam stały, i już tylko monotony jęk, płacz tego dziwnego echa. A kiedyś ten dźwięk był taki nowy i wydawało się, że jest muzyką. Otwierał mi oczy i podążał ze mną w słoneczne stapanie półtonów. Tańczyłem w nim światłem, całym omdlałym w wypiekach barw, a teraz wydychuję kłujący brzęk, bo boję się ciszy, która zabierze mnie, gdy już przestanę dmuchać. Lecz najdziwniejsze jest to, że siedzę właśnie w tym ciasnym dzbanie, w którym ze wszystkich stron, wściekle atakuje mnie mój własny dźwięk i nawet szyja mnie boli, bo patrzę wciąż do góry, ale tam i tak widzę wciąż ten sam skrawek nieba.

Marek S.Podborski,
lirykaakantu@gmail.com

Norbert Budzyński

Wspaniałomyślność

Kocham cię, powiedziała
gdy wróciła z pchlego targu
Gromadzi tandetę i wszystko, co najtańsze
zwłaszcza książki

Natalia Grudziń

I pomyśleć że twoja mama
pracowała niemal cały dzień na maskotkę
labubu i viralową dubajską czekoladę
kupi to
i tak wie że domu nigdy się nie doczeka

Alina Rzepecka

List prozalny

każdego dnia na tym samym murku sprzedaje sny
mieszkają w starym pudełku z farbami
wsiąkają w papier
śnie niebo podparte na cerkiewnych krzyżach
wieżę babel i tajemnice kolejowych dworców
jest tyle ulic do opowiedzenia
w kolorach dachówek smukłości okien układam moje miasto
z pojedynczych kadrów zieleni drzew niepojętych wcieleni nieba

kiedy snię mam odwagę być sobą na tysiąc sposobów
farby schną za wolno a we mnie niekończąca się obfitość obrazów

jestem z tych których omija miłość
ciągle brak mi papieru i szczęścia
boję się słów przyrośniętych do podniebienia
mają smak piołunu moc powieruchy

mam tylko kilka pędzelków sklezione okulary i pewność
że z każdego krańca świata znam drogę do miasta
które jak dzban pomieści moje zdziwienie

Mieczysław Kozłowski

nostalgia

już tyle razy
byłem
w obcym niebie
aby budzić się
pod progiem
własnego domu

inny ja
i inny ty
zbliżamy się
ku sobie
z przypiętymi
do ramion
skrzydłami

pamiętasz
tamten dziecięcy
bęczek

niby ogołocony
z obłoków
a przecież
nakręcany
tęczową obietnicą

ruiny ruiny

i ja i ty
musimy stanąć
twarzą w twarz

wtedy się zobaczy
kto chowa różę
a kto nóż
szyderstwa

Marek S.Podborski

Dzień Świstaka

Wyciągają mnie półtustego
z nory, wrzeszczą pobudzeni
mocną kawą, czerwoni od mrozu
spoceni od kaca i klina
który to już raz ten wyrok
co rano to samo, do znudzenia
mam patrzeć w zimowe słońce
lub w swój cień i nie wiem,
która godzina jest

moim snem ostatnim

Norbert Budzyński

Jestem

Jak co rano
wpięła spinki we włosy
zasiadła nad gazetą
podkreśla wymyślone życia

Ludzie rozebrali chlebowy piec
co stał na środku wsi

Nie rozumiała poezji
piekła chleby
wielkie jak młyńskie kamienie

Notes (25)

1 stycznia

W mojej poczcie internetowej niemal codziennie pojawiają się dwaj faceci, co zbawiają świat poprzez podawanie kodów internetowych do artykułów, które odpowiadają ich poglądom. Wyobrażam sobie z jaką satysfakcją piją kawę i palą papierosa po dokonaniu odpowiednich operacji mailingowych. A świat i tak kręci się jak się kręci. Ta technologizacja komunikacji międzyludzkiej prowadzi też do powstawania „literatury”, która zastępuje literaturę.

Dziś, w pierwszy dzień nowego roku, latając dziury spowodowane nieprzypadnie mnogimi świętami, obrabiałem redakcyjną pocztę. Co rusz jakaś oda do Nowego Roku czy przedwojenny, bo *przecież ma być wojna*, lament. Mimo, że momentalnie wrzucam takie coś do kosza, to jednak jakiś osad w świadomości pozostaje. Kiedyś takie „coś” głośno się po pijanemu na imieninach lub weselu, teraz rozgłasza się na cały świat (w domyśle) w elektronicznej chmurze. Brak ograniczeń nie zawsze wychodzi na dobre.

2 stycznia

Katarzyna Grażyna Jeziółkowska, pisząc o zbiorze wierszy Jerzego Grupińskiego *Epiki towarzyskie i kilka wierszy osobistych*, „odnosi wrażenie”, że autor odnalazł pióro Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, które 72 lata temu wypadło z ręki konającego mistrza i podjął jego robotę: „Kończy to, czego Gałczyński nie zdążył napisać. Nie jest to nieudolne naśladowanie, a podjęcie wyzwania. Nie jest łatwo, zmierzyć się z takim formatu piórem. Ze znanych mi poetów, udało się to tylko nieżyjącej już Janinie Nożownik w *Kon-sygnacji marzeń* (Piotrków Trybunalski, 2010). Jerzy Grupiński wprowadził mnie na powrót w świat mojej młodości – czasy zachwycań się Gałczyńskim i poczucie, że tak pisać może tylko mistrz”.

W pełni zgadzam się z tą oceną, choć czasem w tych poetyckich wspominkach J. Grupińskiego za dużo jest szczegółów, czyli asekuracji wobec świata, który przebrzmiał. A nuż ktoś coś zakwestionuje... Trzeba będzie się wtedy tłumaczyć, wyjaśniać.

3 stycznia

NSZZ „Solidarność” zgubił swój etos. W latach osiemdziesiątych XX wieku, a nawet w okresie transformacji, występował w imieniu narodu i upominał się o reformę państwa; teraz skurczył się do grupy pracowników najemnych i ściśle określonej frakcji politycznej.

Z niesmakiem biorę do ręki „Tygodnik Solidarność”, który w tamtych czasach był wręcz sakralizowany – kolejki przed kioskami, roczniki oprawiane przez introligatorów. Ostatni numer z 2025 roku został zatytułowany *Ubogie święta*, a tu nawet szpilki nie można wcisnąć na parkingach przed marketami. Nie znaczy to wcale, że w tym tygodniku nie ma sen-

sownych artykułów, na które od czasu do czasu powołuję się w *Notesie*.

4 stycznia

Maria Nuszel przeraziła się po przeczytaniu w moim *Notesie* zdania: „W tym świecie bez sensu trzeba czemuś jakiś sens ponadawać, pustkę czymś zapełnić” (nota z 29 listopada 2025 roku). Smutno mi się zrobiło, może nie mam racji, a tu pół godziny po tym nostalgicznym zamyśleniu czytam wypowiedź filozofa i podróżnika Marka Kamińskiego: „Za Wiktoorem Frankiem uważam, że to my nadajemy sens drodze, która sama często jest pusta” („Gazeta Wyborcza” 2025, nr 297, s. 40). Chwytam się więc tego „często”, co rozumiem, że czasem droga nie jest pusta, że sens bywa także poza nami. Tak, kiedy spotyka się po drodze Kogoś lub zobaczy Coś.

5 stycznia

Od Stefana Rusina otrzymałem dwie książki. Pierwsza – *Odyseje* – to eseje dotyczące twórczości wybranych poetów z silną ekspozycją ich przegód biograficznych; druga – *Zar i pokusy* – to poetyckie komentarze na temat różnych zjawisk i osób. Zwracam uwagę na filozoficzne zacięcie autora. Szuka prawdy i całości, co trochę tłamsi poezję. Mnie też tak się zdarza.

6 stycznia

Koryfeusz starej, dobrej, warsztatowej poezji, lecz wciąż nie odklejony od rzeczywistości, Marek Wawrzekiewicz w zbiorze *Stary dom* użył piętrowej metafory na literaturę i literaturę dziś: *A piąty ką pokoju ktoś wierszem zaśmiecił*.

Nie dość, że my, poeci, montujemy w tym świecie *piąte koło do wozu*, a jeszcze go *zaśmiecamy*. Komentując to odkrycie Andrzeja Walter, napisał: „Śmiecimy wierszami wszystkie kąty. Wytwarzamy ten współczesny papier toaletowy, temu choremu światu i jeszcze z nas szydzą” („Migotania” 2025, nr 4, s. 77).

7 stycznia

Wymuszony przez internet „obowiązek pisania” zamiast komunikacji telefonicznej, a nawet *face to face*, sprawia że coraz więcej osób odkrywa w sobie pociąg do literatury. Liźnie tu i ówdzie jakiś wiersz czy wierszopodobny twór i zaraz klawiszuje, rozsyłając kompulsywnie w różne miejsca swoje produkty. Do tych „stale piszących” dołącza grupa niezłych już warsztatowców, która ma przemożną potrzebę sporządzenia i publikowania wciąż nowych utworów. Mają nawet miejsce – jak w sporcie – swoje zawody. Skoro tak, to aż się prosi o roczne, a nawet kwartalne rankingi w różnych konkurencjach, na przykład w poezji lirycznej, poezji lingwistycznej, czy – ostatnio wielce modnej – „szyfrowo-zagadkowej”. Poza konkurencją pozostaje oczywiście potworny bełkot „autora”, znoszącego imię „Łętko”, nie wiadomo z jakich powodów, chyba z pościgu za wciąż

oddalającą się „współczesnością”, lansowanego przez Grażynę Wojcieszko.

8 stycznia

Ostatnio widzę świat jako konkretnych, z imienia, nazwiska i wyglądu, ludzi, z przywiązanymi do nich niczym wodorosty lub kable fragmentami krajobrazu, czynności i czasu. Zmienia się ta mozaika jak w kalejdoskopie, ale puzzle to tylko puzzle, a nie całość.

Tak samo jest z twoim dniem, Człowieku. Chwila po chwili, nierównej długości chwila; gdy się zmęczysz lub upijesz, to się wydłuża.

9 stycznia

Zona Dorota przez pół wieczoru informowała telefonicznie koleżanki o śmierci ich byłego szefa. Przypomniałem sobie, że swego czasu nie poinformowałem jej o śmierci mego dalekiego krewnego Karola Pastuszewskiego. Powstrzymałem się wówczas. Po co dokładać trumnę do trumny, mimo że tak już jest, a w pewnym wieku tylko tak jest. Lepiej mieć przed oczyma inne, wesele, choć złudne widoki. Chrystus wszak powiedział, aby umarli grzebali umarłych.

10 stycznia

Wciąż dochodzę do tego, do czego już inni doszli i następcy – o ile wyrwą się z technologicznej matni – też dojdą. Bo „nic nowego pod słońcem”, jako rzecze Kohelet. Ale wielką radość sprawia mi inne, nowe, dla mnie, bo w istocie nie, sformułowanie tego odkrycia. Jego uroda. Od pewnego czasu namolnie powtarzam i spieram się z Marią Nuszel, że sens, a więc radość z bytowania, tkwi w chwili, w krótkim odcinku jakiejś aktywności, a nie w całej aktywności, bo „trumna nie ma kieszeni”. Roman Kurkiewicz, zakwalifikowany przez redaktora naczelnego „Przeglądu” Jerzego Domańskiego do cechu literatów, zacytował przeurocze i przemądre tłumaczenie frazy Koheleta, dokonane na przełomie XIX i XX wieku przez rabina Izaaka Cyłkova: „Widziałem tedy, że nie masz nic lepszego dla człowieka nad to, aby się cieszył sprawami swojimi, bo to udział jego” („Przegląd” 2026, nr 1, s. 43).

11 stycznia

Współczuję kobietom, które muszą dzielić życie z nudnym, marudnym, często chamskim mężczyzną. Budzą się rano i: – *Och, ale to okropne! Znowu...*

Dzisiaj jest niedziela, poranek, żona jeszcze się nie obudziła albo udaje, że śpi. Wyraźnie nie chce stęknąć: – *Och, ale to okropne! Znowu...*

12 stycznia

W 2024 roku zawarto w Polsce 2556 małżeństw polsko-ukraińskich. W 80% pan młody był Polakiem. Różne i nie jedyne w każdym przypadku są motywy wchodzenia w związek małżeński. Jak zaobserwowałem, Ukrainki nie chcą, mimo pewnej swobody obyczajowej, pozostawać zbyt długo w związku bez pieczęci. Chcą być tradycyjnymi żonami, nawet – same niezbyt świeże – z nieswieżymi facetami. Taka duża liczba usidlonych polskich mężczyzn, a nie kobiet, wynika z faktu, że 1,5-milionowa mniejszość ukraińska w Polsce jest w 65% rodzaju żeńskiego.

13 stycznia

Z jakimż trudem zawiązują się dni nowego roku! Wciąż dużo ludzi włóczących się z kąta w kąt. Przychodzą z nadmiaru do redakcji. I co, nie podać im herbaty?

14 stycznia

Siedząc na kawie u 90-letniego księdza rzymskokatolickiego podziwiam jego walkę z „samotnością księdza rzymskokatolickiego”. W mieszkaniu krząta się autentyczna kuzynka, która swego czasu była gospożą plebanijną, a obok płacze się jej siostra z mężem. Coś tam przenoszą, układają, gotują, gadają. Jakoś utrzymują się z emerytur i rent, raczej głodowych. *Żyć – nie umierać. Nie umieraj, księżo!*

15 stycznia

Wbrew indywidualistycznym pozorom te ludzkie mikroświaty pod wpływem globalizacji standaryzują się. Globalizacja stwarza wiele możliwości wyboru, ale w istocie wymusza określony zrab światopoglądowo-moralny, na przykład materialistyczno-laicki, eudajmonistyczny.

Przenikanie, głównie za sprawą komunikacji społecznościowej, aksjologicznej substancji wpływa nie tylko na światopogląd, ale i na sposób postrzegania samego siebie. Nagle, odrywając wzrok od ekranu smartfona, stwierdzamy, że jesteśmy lepsi lub gorsi, *że to my, tak samo jak oni...* itd. itp.

16 stycznia

Pięknie zaczął się ten dzień. Jakiś kierowca wpuścił mnie, włączającego się do ruchu, do kolejki samochodowej, mimo że zakrawało na korek. Zaskakujący to gest w dobie szalejących indywidualizmów i osobistych strategii.

17 stycznia

Jerzy Utkin, piszący mową wiążaną gorzkie, obywatelskie wiersze, przedstawił taką konkluzję:

*mogą być tego skutki przeszłość się upomni
nie wiem czy nam wybaczą głupotę potomni*

Mądre to, ale nierealne. Potomni, czyli także my wobec naszych poprzedników, w zasadzie ich już nie oceniamy. Ubezwłasnowolnieni przez techniczno-biurokratyczną rzeczywistość całą energię wkładamy w... niezatonięcie. *Jest jak jest, jakoś trzeba to przeżyć. Przeszłość to też takie jest jak jest, nikt tego już nie zmieni, nawet Pan Bóg.*

18 stycznia

Nowy rok jednak ruszył. Przyszły zamówienia na prenumeratę „Akantu”. Skromniejsze niż w ubiegłym roku, ale mimo to chce się pisać i redagować. Nasza pani redaktor techniczna, od bez mała 10 lat, Malwina Witucka, szybko przygotowała numer lutowy, do którego jednak zabrakło trochę prozy, bo wierszy jest aż nadto.

Wydaje się nawet, że – nie uwłaczając innym czasopismom literackim – „Akant” spełnia rolę miesięcznika „Poezja” z ubiegłego wieku. Ale ten redaktor działu poezji Marek Szypulski jest rzetelny i pracowity!

19 stycznia

W aptece sama starość. Trzy młode, kompetentne dziewczyny w okularach uwiązają się jak pszczołki. Czasem pokrzykują, bo głuchota. Nic jednak nie pomoże, chyba że

na chwilę. Chwilę nadziei, że będzie lepiej, że wróci... Wielki zegar nad wejściem tyka jednak niemiłosiernie.

20 stycznia

Od jednego z trzeźwych Polaków, choć z głębokiej prowincji otrzymałem korespondencję o ważnej treści, więc przytaczam bez danych osobowych, choć mnie – personalnie – aż ręka do tych danych świerzbi. Każdy człowiek, niezależnie od tego gdzie mieszka, jest ważny, stąd w *Notesie* tyle nazwisk nie z pierwszych stron gazet.

„Bardzo przypadła mi do przekonania pańska refleksja o publikacjach IPN (nota z 8 grudnia 2025 roku). Należymy do tego samego pokolenia, wychowywanego w raczej ciepłarnianych warunkach. To nasi rodzice zmagali się z dużymi kłopotami, a nawet tragediami. Widzimy tę rozpiętość ich przeżyć z naszymi. Nawet internowania stanu wojennego nie da się w żaden sposób porównać z katowniami gestapo i NKWD i z obozami koncentracyjnymi. Cóż, każdy chce być ważny i mieć na piersi ordery za bohaterstwo. Pokojowe rozwiązanie zawdzięczamy mądrości uczestników Okrągłego Stołu, obu stron konfliktu.

Z wielu publikacji IPN wynika, że kryjący się przed aresztowaniami po lasach zapijaczeni żołnierze wyklęci, z konieczności rabujący, to bohaterzy narodowi. A akowcy, którzy po rozmaitych dramatach wzięli udział w odbudowie kraju i tworzeniu Polski Ludowej, to zdrajcy... Oczywiście się w IPN teksty autentycznie obiektywne.

Nie należałem, jak pan, do aktywistów „Solidarności”. Osoby, które objawiły się w naszym mieście jako przywódcy, nie wzbudzały mego zaufania. Niemniej znalazłem się w wielkiej masie członków tego wielkiego „związku zawodowego” przez absolutny przypadek. Zostałem telefonicznie powiadomiony o rozwiązaniu związku branżowego i wpisaniu jego członków na listę nowej organizacji. Powiedziano to w taki sposób, że nie wypadało protestować... Byłem zresztą już członkiem PZPR... Miałem potem pierepałki z pewną panią, pracownicą chronioną z racji wieku, która przedstawiała się jako aktywistkę katolicką. Wysłuchałem kilku kazań nagłaśnianych z kościoła na całe miasto tzw. odważnych, które w treści niosły manipulacje historyczne. Kiedy więc sekretarz KM PZPR, spotkana na ulicy, nieśmiało zaproponowała mi wstąpienie, ku jej wielkiemu zdziwieniu zgodziłem się. Postawiłem się w sytuacji ówczesnie rządzących... Zyskałem telefon, ale nie mieszkanie. Już pierwsze zebranie POP uświadomiło o głębokiej degrengoladzie i fasadowości partii... Jedyną osobą prawdziwie zaangażowaną była sprzątaczką... Niemal wszyscy moi koledzy ze studiów byli w opozycji, ja jeden wyrodek zostałem „reżimowcem”. Wzięciem odpowiedzialności za państwo przez wojsko zaskoczony nie byłem. Chociaż, oczywiście, nie byłem gotowy na stan wojenny. Budził przerażenie. Do dziś uważam, że był koniecznością. Dojeżdżałem wówczas do dziewczyny do Sejna, a tam w godzinach nocnych pojawiały się patrole żołnierzy mówiących po rosyjsku. Zanosilo się na interwencję”.

Przygotowuję publikację o młodzieżowej opozycji lat osiemdziesiątych XX wieku. Cenny to tekst dla wyrażenia propozycji.

Tylko, że opozycja młodzieżowa była spontaniczna i tak jak młodość radosna.

Relacja mojego korespondenta potwierdza fakt, że w latach osiemdziesiątych XX wieku społeczeństwo było przełamane na pół. Dzisiejsze gadanie o masowym poparciu dla „Solidarności” trzeba między bajki włożyć. 9-milionowy akces do tego Związku miał charakter owczego pędu, czy mówiąc bardziej dostojnie – pospolitego ruszenia. Gdy nadszedł 13 grudnia 1981 roku wszystko posypało się i pojawili się dzielni – naprawdę – obrońcy rozpadającego się systemu. Po dziś dzień mam w oczach czerwony napis „PZPR” na balustradzie balkonu na drugim piętrze centralnie położonej kamienicy. Wymalował go lokator, wychylając się przez balustradę, bo „Z” wykonał odwrotnie. Całe szczęście, że – pelen przejęcia – nie wymalował partyjnego skrótownica po żydowsku, czyli z prawa na lewo.

Napis ten drażnił, ale też i niektórych wzruszał, aż do lat dziewięćdziesiątych, kiedy remont fasady owej kamienicy całkowicie go unicestwił.

21 stycznia

Katarzyna Grażyna Jeziólkowska jest bardzo łaskawa dla poetów, bo pisze:

„Pieśni Petrarcki czytałam z przyjemnością, ale przeszkadzało mi uczucie zazdrości. Zazdrościłam pióra, które w jasnych, dobrych słowach, zamyka wszystkie odcienie uczucia, i które jest, na szczęście, tak odległe od współczesnej nowomowy. Jednocześnie rytmika i rymy, właściwe sonetowi, nadają tym uczuciom rangę najwyższej poetyki. Jak u Petrarcki!

Zazdrościłam też bohaterce tych pieśni. Wszak jestem kobietą. Choć już trochę starszą, ale ciągle tęskniącą za wzniosłością subtelnych uczuć. Tych niedopowiedzeń, tych spojrzeń zapadających w serce i pamięć. Sama kiedyś napisałam, *że kobieta, aby żyć, musi kochać. Jeśli nie mężczyzną, to dziecko. Miłość sensem jej życia i treścią.*

Do wierszy dołączone są trzy solidne recenzje i analizy, skupię się więc tylko na moim tych wierszy odbiorze.

Tak, panie Stefanie. Pana wiersze wywarły na mnie ogromne wrażenie. Na pewno będę do nich wracała. Natomiast dziwne, ale *Listy Laury niepisane*, już czytałam bez większego wzruszenia. Owszem, podobały mi się, ale to już wszystko. Napisałam, że dziwne, bo wydawało mi się, że z kobiecym pisaniem o uczuciach utożsamie się bardziej.

Parę z nich jednak sobie zaznaczyłam. *Miłość to świeca* jest cudowną diagnozą różnicy między miłością skonsumowaną a platoniczną. Natomiast *Kocham* cudnie relacjonuje zmienność nastrojów zakochanej kobiety: *Tak można umierać z czułości / Być trzeźwą i ciągle pijaną*”.

22 stycznia

Spotkanie z „demokratycznym” inwestorem pochodzącym z Wąbrzeźna, który operuje na rynkach nieruchomości w Hiszpanii i Tajlandii. Do niedawna jeszcze taka „demokracja” nie była dostępna dla Polaków. Inwestor coś mi tam opowiada o swoich operacjach. Niewiele z tego rozumiem.

Notes

dokończenie ze str. 5

23 stycznia

„Polityka pały”. Taki jest tytuł „Przeglądu” nr 3 z 2026 roku, który wymienia 28 wojen i interwencji USA prowadzonych od 1903 roku. Do tego należy dołączyć amerykańską podstępną akcję z 2014 roku (nota z 20 marca i 29 października 2025 roku) wywołania zamieszek w Gruzji i wojny na Ukrainie poprzez zachęcenie tamtejszych progresistów do zgłoszenia akcesu do NATO.

A wszystko to w interesie wielkiego kapitału pudrowanego ideami demokracji i praw człowieka. Polityka plemienna wyrastająca z religii plemiennej.

24 stycznia

Wzruszył mnie Wojciech Hetman pudełczkiem *Brazilian beanie bee venom body butter* na smarowanie obolałych nóg, bo kilka dni temu powiedziałem mu, że czasem kończyny mi puchną. A jednak są jeszcze ludzie!

25 stycznia

Sebastian podczas kanonicznej już debaty w saunie orzekł, że ma zaufanie tylko do liczb, a nie do słów. Przykro mi się zrobiło, zakutej literacie, ale na pocieszenie przypomniałem sobie, że w szkole z matematyki byłem na tyle dobry, że podczas matury dałem ściągnąć dobrze rozwiązane zadanie z trójkątem koledze, który potem został wziętym dziennikarzem radiowym.

26 stycznia

Facet, który od kilku lat organizuje kolo-

nie i obozy dla dzieci i młodzieży, stwierdził, że ma już dość. Coraz większe bariery biurokracyjne, żadnej wdzięczności, same pretensje. On, który w końcu ma przedsiębiorstwo, choć na styk, bez krociowych zarobków, rezygnuje, a cóż dopiero powiedzieć o nauczycielach, którzy mogliby dla uczniów *coś* zorganizować. Gdy byłem w samorządowej komisji przydzielającej głodowe dotacje na szkolne kolonie i obozy, to wniosków było co kot napłakał. Teraz, podobno, jest jeszcze gorzej.

Młodzież gdzieś tam wyjedzie na wczasy z rodzicami, a w Ustroniu Morskim widzę coraz więcej takich dzieci, tylko gdzie zsocjalizują się one we wspólnocie rówieśniczej?

27 stycznia

Natalija Horiszna zameldowała z ukraińskich Czerkas, że u nich przez 18 godzin w ciągu doby nie ma dostaw energii elektrycznej i w związku z tym temperatura w jej „chacie” osiągnęła +9°C.

Przekazałem jakieś współczucie i pocieszenie, a ona odpisała, że *wiosna na pewno przyjdzie*.

Wyobrażam sobie lodowate ukraińskie miasta warczące i śmierdzące spalinami przez całą dobę – a swego czasu doświadczyłem tego osobiście – bo pracują tam agregaty prądotwórcze. Mieszkańcy bloków składają się i kupują takie agregaty. Być może u N. Horisznej takiej akcji nie było.

28 stycznia

– Ja nie mam już czasu na głupstwa – powiedziałem na wytłumaczenie mego wcześniejszego wyjścia ze spotkania, gdy przerodziło się ono w niekontrolowany, spontaniczny bełkot. Zabrzmiało to trochę złowieszczo.

29 stycznia

W trwającej obecnie debacie – całe szczęście, że jeszcze tylko debacie – o podziale świata na strefy wpływów, imperializmowi przeciwstawia się prawo do samostanowienia narodów, a w istocie brutalnej sile zachłanności – prawo do wolności. Mało kto zwraca uwagę, na przyczynę tej debaty, a jest nią fala egoizmów wynikła z anarchizującego pojmowania wolności, fala, której technologizacja życia pomogła w dominacji. Indywidualne strategie są ważniejsze niż wspólnota, samotność – niż bycie razem. Nie, nie jestem naiwny, wiem, że z falą nikt nie ma szans, ale muszę o tym napisać. Choćby z tęsknoty za wspólnotą aktywności społeczno-politycznej w przedostatniej dekadzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nazywa się ją „ostatnim wspólnotowym buntem”, bo obecnie są tylko bunty prywatne – w internecie i w rzeźbieniu osobistych krecich kanalików.

30 stycznia

Coraz więcej melduje się spedycytorów pracujących w firmie logistycznej, gdzie posługują się wieloma językami. Świat rusza się niczym mrowisko, towary przewożone są w różnych kierunkach. Taki spedycytor posługujący się różnymi językami chce jeszcze pisać wiersze. Rafał Wierzbą z Wiednia napisał o sobie: „Piszę, bo szkoda mi na psychologa”. A więc literatura jako autoterapia, chyba jednak tylko „literatura”.

Drugi typ korespondencji to informacje o publikacjach w chmurze internetowej, czyli nigdzie. Jakies antologie facebookowej grupy poetyckiej „Bar Sedno”.

Od samego rana współczuję młodym ludziom tonącym w technologicznym oceanie. A wszystko to w nadmiarze, który powoduje *brainrot*, czyli *gnicie mózgu*.

31 stycznia

Poranki coraz jaśniejsze. A więc *wiosna na pewno przyjdzie* (nota z 27 stycznia 2026 roku). ❖

Dorota Czerwińska**Haiku**

śnieg na wzgórzach
delikatnie osuwa się
słońce

śnieży
cicho i miękko
mruczy kot

jasełka
diabeł przyprawia skrzydła
aniołowi

kolędowanie
znowu nabrał wigoru
serdak po dziadku

zimowy widok
za oknem tylko
białe cętki

**„TĘCZOWY ZAKĄTEK”**

NOWOCZESNE OSIEDLE ZBUDOWANE NA BAZIE
PONAD 30 LETNIEGO DOŚWIADCZENIA.
UL. FILTROWA NA CZYŻKÓWKU W BYDGOSZCZY

SPRZEDAŻ MIESZKAŃ

☎ 604239030 ☎ 571338880

sim.bydgoszcz.pl

Bogdan Łoś

Tatuże

Zoo – logicznie

Tytaniczną trzcina na wietrze
dźwiga oczy złożone:
istota rozumna *nade mną*
prawo robotnicy we mnie -
czołem! jakby woła.

Stąpam delikatnie
nie chcę kresu żadnego życia
nawet, jeśli znikome
też patrzę w górę
nosa nie zadzieram, ani głowy.

Gwieździste niebo...
myślę, więc jestem

pragnę porozumieć się (ale w jaki sposób?)
z tym ofiarnym in sekt em.

Człowiek obok w lesie
mija kopiec
jak ja - sapiens

no proszę
chyba prościej
dojdę z o wadami do ładu
gdy się pochylę.

obecność

pies wybiegany
po lesie

czuję
smyczą
puls

Formalność odślon. Bakcyle.

Oczy splamione
zamazanym snem
w słup ściany
niby farbą wiadra –

sztuką współczesną
zrażony

bryzga mi dookoła

a bełkot oraz darcie mordy
nawet jeśli szeptem
scenicznie lub obcesowo
w obecności bliskich
prosto niczym w gęby.

Oni biją brawo
O ile uznany jestem
puszczają pomimo
odkąd tylko cichnie owacja.

Otworzyłem oczy.
Drzwi snu domknięte.
Ciemność.
Struga światła zaledwie jak klucz bogato zdobiony
łśni i nieznacznie napawa nadzieją, by cokolwiek zobaczyć.
Nie jaskinia demiurgów, lecz Mózg raczej inkrustowany
hieroglifami w ruchu wewnątrz
przemawia językiem nie całkiem zrozumiałym.
Narzcza jakieś różne. Hybrydy.
Hebrajskie, aramejskie, koine.
Obrazy alfabetem chaszczy
wprawione dynamiką światła,
skaczą niczym w camera obscura mistrza Leonarda.
Widzę to poruszenie
klatek
animacji
jakby ze snu.

Mózg wytatuowany światłem!

Ja, stary Diogenes.

Tobół do pomnożenia
niczym chleb
duchem wątlým w ciele
co chce jeść.

Myślę
o sędziwości rychłej. Bieda.

Nie o tabletkach
ani schronieniu w domu
na plecach
ślímaczce skorupy.

Chyba drwią ze mnie
przenikliwie
gdy wokół beczki ideą krążę
jak bezdomny.

Widzimi się izba bursztynu

Tyle zatopiony
w łaskach zaufania
że myśleć z troską
co chwilę

czy prosto idę
odmawiając modlitwę -
nie musisz

i ja nie wiem o Tobie
w świętości ciemnej
puszczam oko
byś nie zauważył

gdy z kolan się dźwigam
nie widzę

czerni rozjaśnionej
komnatami komet
kiedy śnisz się
w śnie moim –

czuję spokój.

Się wije

Wiersz jak wiersz
kto czyta ten widzi

cembrowiny!

kiedy w studnię pochyleni
czytamy cicho lub głośno

metafizyka niesie błysk
w próżnię

nie słycać nic

słowa gadają
świecłnymi latami.

Do tkliwa małżo wina

Przykleknąłem przed obrazem.
Nic.
Ukleknąłem bez obrazu.
Nic.

Nie padłem na kolana.
Posąg. Kamień po stoku
w nic ość

po-zbawioną drzwi by zakołatać

i tylko zapał
dzwonem serca
rafę majątności
kruszy

ciągnąc głodem
paradoksów sznur łaski losu

ze snu ego czasem
budzi.

Między ucieczką a nadzieją

Witalia Grabczak (Віталія Грабчак) urodziła się w Izmailu w rok po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości. Izmail (pol. Izmańl) to miasto z bogatą historią w obwodzie odeskim, niedaleko granicy z Rumunią i delty Dunaju, dawna osada genueńska, twierdza turecka, potem rosyjskie, rumuńskie, sowieckie (USRR) a obecnie ukraińskie. Leży ono w krainie Budziak w północnej części Besarabii. Gdy Witalia miała 10 lat rodzina przeniosła się do Kijowa. Jej dziadek od strony matki Jurij pochodził z Wołgogradu, a po śmierci rodziców przeniósł się do Izmailu. Babcia Larysa pochodziła z tego miasta. Dziadek był głównym inżynierem w jednej z fabryk, a babcia dyrektorem szkoły a po studiach w-fu w Kiszyniowie trenerem sportowym. Natomiast dziadek od strony ojca Mychajło był geodetą a jego żona Wira technologiem żywności. Mama Swietłana była nauczycielką a obecnie administruje kliniką stomatologiczną. Ojciec Władysław projektował instalacje sanitarne, a obecnie naprawia drony dla armii ukraińskiej. Młodszy brat Wadym mieszka na Ukrainie i zajmuje się produkcją dronów dla wojska. Mąż Witalii, Dmytro od 7 lat pracuje w Bydgoszczy jako kierowca obsługując trasy w całej Europie. Ma on polskie korzenie, gdyż jego babcia i dziadek od strony ojca byli Polakami. Pochodzili oni z dwóch gałęzi Grabczaków mieszkających w okolicach Baru w obwodzie winnickim (miasto do I rozbioru w 1772 r. należało do Rzeczypospolitej). Matka Dmytra to Zoja, a ojciec Josif. Cała rodzina była i jest wyznania rzymsko – katolickiego.

Witalia w Kijowie ukończyła szkołę średnią i studia na Kijowskim Narodowym Uniwersytecie Handlu i Ekonomii. Rozpoczęła też studia doktoranckie. Po urlopie macierzyńskim do napaści Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r pracowała jako menadżer i agent turystyczny. – „To bardzo

ciekawa i odpowiedzialna praca. Należy wybrać odpowiednie dla klientów miejsca odpoczynku czyli hotele, które zaspokoją ich potrzeby. Dlatego musiałam osobiście je oglądać. W tym celu jeździłam do Egiptu i Turcji aby je obejrzeć-



od 5 do 10 w ciągu dnia. W Bydgoszczy też pracuję zdalnie w biurze turystycznym i uczę się intensywnie języka polskiego”. W Kijowie Witalia poza pracą zawodową zajmowała się tańcem oraz występowała jako modelka. Tu wyszła za mąż. Oboje zamieszkali na lewym brzegu Dniepru, na południe od Jeziora Słonecznego. W 2014 r. „wybuchła” Rewolucja Godności. Witalia ze względu na swe macierzyństwo nie uczestniczyła czynnie w dramatycznych wydarzeniach na kijowskim Majdanie. – „Rektor mojej uczelni był zwolennikiem wygnanego potem prezydenta W. Janukowicza i zabraniał studentom występo-

**Uchodźcy,
losy, decyzje**

wać przeciwko niemu”. W tym roku urodziła się jej córka Karolina, a cztery lata później syn Artem. Oboje zostali ochrzczeni w katolickim kościele pw. św. Mikołaja. Ponieważ Witalia jest wyznania prawosławnego to ważne święta jak Boże Narodzenie i Wielkanoc w jej rodzinie były obchodzone podwójnie. 24 lutego 2022 r. imperialistyczna Rosja bez przyczyny napadła na Ukrainę. Zapanał strach i niepewność wśród mieszkańców Kijowa. Witalia opowiada: – „W pierwszych godzinach byłam zdezorientowana. – Co się dzieje? Jaka wojna? Naradzaliśmy się co zrobić, jak będzie dalej? Mąż był w pracy w Niemczech. Budziły nas wybuchy. Gdy 25 lutego rakieta uderzyła w budynek 600 m od nas to po narodzie rodzinnej zdecydowaliśmy się wyjechać z

Kijowa z rodzicami, bratem, szwagrem i matką chrzestną Karoliny. Zatrzymaliśmy się u rodziny męża na wsi w obwodzie czerkaskim. 13 marca wyjechaliśmy z dziećmi do Polski. Ponieważ na drodze żytomierskiej byli okupanci nie mogliśmy jechać przez Kijów. Dlatego tato zawiózł nas do Chmielnickiego a dalej już jechaliśmy autobusem do Warszawy. Na granicy była duża kolejka, ale od wolontariuszy można było dostać herbatę i jakieś jedzenie dla dzieci. Z Warszawy zabrał nas kolega męża do Bydgoszczy samochodem. Z Ukrainy do Polski przyjechaliśmy z jedną walizką, a droga do Bydgoszczy zajęła nam 40 godzin. Firma męża wynajęła nam mieszkanie. Pierwszy tydzień był bardzo

ciężki, bo nie znałam języka, nie rozumiałam co robić najpierw i bardzo baliśmy się głośnych dźwięków”. Z mężem znaleźli przedszkole dla syna, a córka uczyła się w ukraińskiej szkole zdalnie oraz języka polskiego. Dmytro posiada kartę pobytu. W chwili obecnej Karolina uczęszcza do klasy szóstej. Dodatkowo uczy się w „Świetlicy Ukraińskiej” projektowania graficznego oraz tańczy w zespole „BRAX VIII”. Artem zaś chodzi do pierwszej klasy, a jego zainteresowaniami jest pływanie i karate.

– Teraz mamy stabilne życie, a dzieci mają dzieciństwo. Uczę się języka polskiego, by móc dalej pracować w biurze turystycznym lub znaleźć inną pracę. Dla mnie jest to trudne, bo więcej czasu jestem sama z dziećmi. Nasze życie nie można nazwać spokojnym, gdyż w Ukrainie zostali nasi bliscy (rodzice, babcia, bracia, przyjaciele). Dlatego codziennie śledzimy wiadomości z Ukrainy, a gdy w Kijowie lub w Izmailu są uderzenia rakiet lub dronów – szachędów to kontaktujemy się telefonicznie z rodziną.”

Witalia czeka zakończenia wojny. Ona chce powrócić do swojej Ojczyzny, do Kijowa. Jednak, jak mówi to najlepiej czuje się w Izmailu. Jeździła tam często na wakacje do babci i dziadka, a potem na urlopie. Przebywając w tym mieście odczuwa prawdziwy spokój i radość, a wszelkie zmartwienia odchodzą jak spadające z serca kamienie. ❖



NOCLEGI ŻNIN

Stara
KAMIEDICA

5

ul. 700-lecia

tel. 602 242 061 • www.noclegiznin.eu

Agnieszka Lubos**Luty**

w pryzmacie lutowego dnia
rozpraszam się
najlepiej
na piksele multiwersum

wielowymiarowość każdego neuronu
rozbryzguje się
na niepoliczalności
piasku i psich odchodów
jakże bezrelacyjnie
bezpodmiotowo
bezpańskich

dobrze że dni jeszcze
tak mętnie krótkie
wyłącznie na mgnienie oka
ukazują ten bohomaz

Jolanta Baziak**Imperatyw**

Przymroziło
zamroziło

sikorki bogatki
dziobią ziarenka skamieniałe

a tu dzikie koty wygłodniałe
komu pokarm pod bramą Domu

ot życie bezdomne

imperatyw kategoriyczny
fundamentalny
etyczny

Katarzyna Dominik**Po drugiej stronie**

Oddycham spokojniej
w świetle przenikającym
przez zieleni.
Zaczynam rozumieć
zaprzęśłe myśli.

Natura obserwuje mnie z ukrycia,
drzewa gromadzą soki
w korzeniach.
Jeszcze ich nie rozumiem,
ale czuję, że mogę iść pod wiatr.

A kiedy zamykam oczy,
wszystko staje się prostsze,
bo po drugiej stronie liści
uczę się siebie
od nowa.

Lucyna Dobaczewska**Nadzieja mieści się w dłoni**

Nowy rok
nowy dzień
słońce grzeje
mróz skrzypi

jak w dłoni Budda
w pękach magnolia
trzyma kwiat
nie mówi nic

w ciszy
zaczyna wszystko od nowa

Dorota Szawdzianiec**Nieobecne**

Leżą nieruchome w pościeli
jak porzucone
narty w śniegu
głuche na polecenia
nieposłuszne
uparte.

Każdej nocy
wpatrujesz się w nie
jak Galileusz
w gwiazdy
i zaklinasz na wszystko
by wróciły.

A one
gdzieś daleko
w innej galaktyce
lewitują
coraz bardziej
obce.

Józefa Ślusarczyk-Latos**Łóżko**

Łóżko przybrało mój kształt. Nauczyło się
na pamięć mojego ciała i oddechu
modlitwy do gwiazd. Te wyłobione zarzysy
parametry światła delikatne kontury i dźwięki
kołyszą się obojętnie Niby to neutralnie
znużone moją nieobecnością – Z uśmiechem
tańczą nad podłogą. Czasem udają że śpią
Dywan latający
lub łożo królewskie z XIII wieku

Po czym kładą się ze mną bezszelestnie
naturalnie i bezwarunkowo przymierzając ciszę
starają się nawet nie chrapać -
Noc śpi w moim łóżku udając mnie
beze mnie

Dorota Czerwińska**biała noc**

wplątam w sen
myśli o tobie

płoną warkocze z lepkiego śniegu

zostaje pył

Grzegorz Borowiec**Nadal pachnie**

Ktoś podaje szklankę
każe wychylić ktoś za rękę wyciąga
na środek ktoś zahaczył marynarkę
ktoś leży zbiera brud z podłogi
udaje poczytalność

ktoś ktoś ktoś jak jedna masa
nie potrafimy się zrozumieć

to pewnie kwestia
późnej godziny
i tego że ja już nic

Bajka będzie długa

„Przyszedł do mnie dziś jakiś pan, miły pan, bo przyniósł delikcje, te takie jak dawniej były, co to kiedyś ich wcale nie było, to znaczy w sklepach nie było, ale na bazarze sprzedawali trzy razy drożej, one są z nadzieiem pomarańczowym, takie lubię najbardziej! Może zaśpiewam piosenkę, tę, której mnie mamusia nauczyła? Jedna pani tutaj lubi ze mną pośpiewać, ale co my śpiewamy? Czy ja znam słowa jakiejś piosenki? Wózek obiadowy jedzie. To kolejka za oknem, syn zaraz tu będzie, może już idzie do bloku. O, jedzie z wózkim obiadowym, za chwilę mu zaśpiewam tę piosenkę. Bo ja znam słowa wszystkich piosenek i wszystkich wierszy, których się uczyłam w szkole. Nic nie pamiętam z tego, czego się uczyłam. Obiad już? Śpiewamy? Kto był u mnie? Jakiś miły pan... Myślałam, że przyjdzie mamusia, a tu on przyszedł. Wyglądał trochę jak mój syn z Kanady. Zawsze chciałam mieć syna, ale z Zygmuntem mieliśmy tylko córkę. Zbigniew to mój mąż. Był dziś u mnie, ale to wcale nie był on. Gdzie ten obiad? Jestem głodna. Ten pan przyniósł lody z polewą pomarańczową, ale to było rano a teraz jest południe i zaraz będziemy śpiewać, bo zawsze wieczorem śpiewamy z Zosią, moją sąsiadką spod dwunastki. Czasem idę do niej na górę, ale ostatnio jej nie ma, bo tam się zawaliło i zostało tylko jedno piętro. Ona teraz ze mną

siada do obiadu i sobie śpiewamy. Już nabrała sił po porodzie i na szczęście pozwolili jej to maleństwo tu wychowywać; czasem kwili i ja słyszę w swoim pokoiku...”

Nagle uniosła głowę i rozejrzała się, lustrując wnętrze jadalni bystrym wzrokiem. Na wprost dostrzegła duży, drewniany krzyż i kiczowaty portret Papieża. Skrzywiła się nieznacznie na widok nieapetycznej żółtej papki na talerzu przed sobą. W pomieszczeniu co jakiś czas słychać było smętne zawodzenie. Poczula w nosie ostry zapach środka odkazającego.

„Co to za miejsce? Dlaczego tu jestem? Gdzie moje powieści? Grzegorz miał mi pożyczyć Cotzeego z biblioteki...”, przemknęło jej przez myśl i z trwogą rozejrzała się po jadalni domu opieki. „Co to za stare baby? Do kogo ja tu przyszedłam? Przecież ciotka Binia już nie żyje...”

- I co kochaniutka? - zapytała jakaś kobieta w błękitnym uniformie. - Nie smakuję obiadek?

- Poproszę o telefon. - powiedziała rzeczowym tonem. - Muszę zadzwonić do domu, niech mnie stąd natychmiast zabrają!

Opiekunka uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Oczywiście, kochaniutka. Zaraz pójdziemy do pokoiku, weźmiesz pastylkę.

- Nie wezmę żadnej pastylki i nie jestem dla pani „kochaniutką”. Proszę mnie zaprowadzić do kierownika tej placówki. - wyrzuciwszy z siebie te słowa jednym tchem, nagle poczuła dojmującą pustkę i smutek tak intensywny, że zdawał się wnikać do każdej komórki jej ciała.

W jednej sekundzie zdała sobie sprawę, że przynależy do tego miejsca, że nikt jej stąd nie zabierze, bo zostawia się tu ludzi nie po to, żeby ich stąd zabierać. Wprost przeciwnie – są tu, bo już nigdzie indziej nie przynależą. „Ale dlaczego?”, pomyślała i poczuła dławienie w gardle. Chciała się poderwać i wybiec tak jak stała, ale nogi odmówiły posłuszeństwa i osunęła się na plastikowe krzeselko.

„Spokojnie. Tylko spokojnie. Uporządkujmy doznania.” - wyszeptła do siebie – „Za sprawą jakiegoś koszmarnego zbiegu okoliczności znalazłam się w tym miejscu. Z nieznanego powodu biorą mnie za kogoś innego i to trzeba jak najszybciej wyjaśnić. Niech mnie zaprowadzą do jakiegoś kierownika. Bo ten pan, który rano przyniósł mi pączki z nadzieiem pomarańczowym to wcale nie był kierownik. Przecież chyba mam jakieś dokumenty, dowód, legitymacje biblioteczne... Gdzie w ogóle są moje rzeczy osobiste? Trzeba pójść do tego pokoju i wszystko zabrać. Ale najpierw piosenka z Zosią, pewnie małą zdążyła nakarmić, bo kolejka już tu, tu, tu i odjechała ze stacji i mamusia podreptała do naszej chałupki w ogrodzie, pod orzech. Co ja tu robię? Tylko, że wszystkie piętra z wyjątkiem naszego zawałone i nie mogą tam wejść tym wózkim, który miał Zenka z Radomia przywieźć na kolację. Gdzie Zosia? Czas już zaśpiewać:

Z popielnika na Wojtusia
Iskiereczka mruga
Chodź opowiem Ci bajeczkę
Bajka będzie długa...” ❖

Jest taki wiersz

Paweł Końja Komak

*zdjęcie jest ładne
z maja 1987 roku
stoiśmy w monochromatycznym słońcu
piękni młodzi i przegrani*

*za trzy dekady
wyrosną z nas
naziol
schizol
i ankohluk*

Wiersz „*** zdjęcie jest ładne...” Pawła Końja Konnaka pochodził z książki „Metka z Glettkau” i opisywał przedstawicieli pokolenia urodzonego w późnych latach 60-tych jako stracone pokolenie, nie mające żadnych szans na udaną egzystencję w Polsce podczas transformacji ustrojowej i w latach późniejszych. Zapewne była to grupa ludzi kontestująca politykę w czasach swojej młodej dorosłości, istniejąca z dala od wyznaczników i propagandy PZPR, ale także nie wtrącająca się w sprawy opozycji, słuchająca muzyki rockowej, czytająca fanzyny i gazety o takiej muzyce, które w późnym PRL-u ukazywały się w większej ilości niż dzisiaj, spędzająca razem czas na koncertach i imprezach, gdzie się nie tylko piło alkohol, ale rozmawiało o własnych sprawach i muzyce. W książce „Metka z Glettkau” zamieszczono oprócz wierszy sporo kolaży – czyli różnorodnie zastawionych wycinków prasowych, w których pojawiały się motywy rockowe i punkowe, stąd na pewno nie było nadużyciem to, że tą grupę znajomych zasygnalizowanych w wierszu potraktowałem jako fanów muzyki rockowej.

To pokolenie dorastające w Polsce w czasie różnych przemian społecznych i politycznych – biedny gomulkowski, otwarcia się na Zachód Gierka i dojrzewania podczas stanu wojennego na pewno była bezradna w innym ustroju niż socjalizm, w którym można było nie interesować się polityką i żyć z dnia na dzień. Takie nastawienie zostało podkreślone czwartą linijką, w której przekształcono autopromocyjny frazeologizm różnych grup biznesmenów i ludzi o mentalności yuppie „piękni młodzi i bogaci” zmieniając w nim ostatni człon z „bogaci” na „przegranani”.

Przeszłość kilku znajomych została skonfrontowana z teraźniejszością. W nowej rzeczywistości, odnajdywali się przyjmując poglądy narodowe i szowinistyczne, albo ulegali stanom bliskim chorobie psychicznej lub tkwili się w mentalności „ankoholika”, czyli nastolatka, bo Ankohluk to bohater z książki Edmunda Nizurskiego dla młodzieży. Wiersz był przerażający. Ukazywał, że przemiany polityczne i ustrojowe w Polsce nie wyszły dla wszystkich poprawnie, gdyż żeby przetrwać we współczesnej Polsce trzeba było porzucić swoje poglądy, zainteresowania i marzenia sprzed przemian ustrojowych i przestoczyć się w kogoś innego niż się było, albo zostać na pewnym etapie rozwoju umysłowego, gdyż mobilność ludzkiego umysłu i zmysł adaptacji do kolejnych warunków politycznych nie były jak wszechświat nieskończone. Na pewno ten i kilka innych wierszy z „Metki z Glettkau” należały do najciekawszych jakie napisał były

Instytut Wydawniczy „Świadectwo”

oferuje usługi edytorskie

w zakresie:

- redagowanie,
- korekta,
- opracowanie graficzne,
- skład komputerowy,
- druk

książek (literatura, dzienniki, opracowania naukowe, publikacje jubileuszowe itp.) oraz

innych tekstów literackich, publicystycznych, naukowych i urzędowych

85-010 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 62/1
tel. 052 321 33 71
e-mail: akant24@wp.pl

www.akant.org

członek „Totartu”. Jako, że nie byłem fanem programu „Lalamido”, gdyż słowotoki były mi obce, a konferansjerka Konnaka podczas festiwalu w Jarocinie w 1993 niezbyt przypadła mi do gustu, to na pewno pisane potocznym językiem, wiersze z tomiku z 2022 roku pozostawały w pamięci na dłużej. ❖

Regulamin XX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego o „Cisową gałązkę” im. L. Wyczółkowskiego

Regulamin:

1. Konkurs adresowany jest do osób w wieku od 15 do 25 lat.
2. Warunkiem udziału w Konkursie jest nadesłanie wydrukowanego zestawu wierszy, zawierającego od 1 do 3 utworów, które nie były wcześniej nagradzane w innym konkursie ani publikowane w Internecie. Każdy wiersz powinien być opatrzony godłem (pseudonimem) i nadesłany w 4 egzemplarzach. Do takiego zestawu należy dołączyć Kartę uczestnika/Kartę uczestnictwa dziecka - *Załącznik nr 1* do Regulaminu, który dostępny jest na stronie www.cekcyngminna-biblioteka-publiczna/aktualnosc. Wiersze nadesłane bez Karty uczestnika/Karty uczestnictwa dziecka nie biorą udziału w Konkursie.
3. Prace należy dostarczyć do 24. kwietnia br. (decyduje data stempla pocztowego).
4. Tematyka prac jest dowolna, mile widziane wiersze inspirowane pięknem Borów Tucholskich.
5. Oceny utworów dokona Jury powołane przez Organizatora.
6. Laureat Konkursu otrzyma nagrodę główną w kwocie 1000 zł. Nagroda główna przekazana zostanie w ciągu 7 dni na rachunek bankowy wskazany przez Laureata.
7. Uczestnicy wyróżnieni otrzymają nagrody pieniężne i rzeczowe.
8. Laureat i osoby wyróżnione zobowiązane są do udziału w gali finałowej Konkursu (nieobecny finalistom konkursu nagrody nie będą wysyłane).
9. Przed finałem Konkursu, o werdykcie Jury, zostaną powiadomione wszystkie nagrodzone osoby. Informacja przekazana zostanie telefonicznie lub za pomocą poczty e-mail. Organizator ogłosi również wyniki Konkursu niezwłocznie po jego zakończeniu na stronie www.cekcyngminna-biblioteka-publiczna oraz na facebooku Biblioteki.
10. Wiersze nagrodzone zostaną opublikowane w miesięczniku literackim „AKANT”.
11. Organizator nie zwraca nadesłanego tekstu i jednocześnie zastrzega sobie prawo do nieodpłatnego publikowania wierszy, bez wcześniejszego powiadomienia o tym autora, na stronie internetowej Biblioteki, w prasie i innych mediach oraz w wydawnictwach własnych Biblioteki.
12. Organizator może wykluczyć uczestnika Konkursu w przypadku naruszenia przez niego Regulaminu.
13. Organizator zastrzega sobie prawo do wprowadzenia zmian w Regulaminie.
14. Udział w Konkursie oznacza akceptację wszystkich postanowień Regulaminu.
15. W sprawach spornych, nie ujętych w Regulaminie, decyzję podejmuje Organizator.

Finał Konkursu wraz z wręczeniem „Cisowej gałązki” odbędzie się 04.07.2026 r. (sobota) o godz. 19.00 na wieczorze literacko-muzycznym, połączonym z prezentacją nagrodzonych utworów.

Organizator:

Gminna Biblioteka Publiczna w Cekcynie
ul. Główna 9
89-511 Cekcyn
biblioteka@cekcyngminna-biblioteka-publiczna

Sławomir Bączkowski

Pan W. jedzie na działkę

Pan W. był przygnębiony od wielu tygodni. Rzadko wychodził z domu, argumentując, że jesienne pluchy i zimno nie służą jego schorowanemu kręgosłupowi. Przesiadywał całymi godzinami w chmurze tytoniowego dymu, a swoją aktywność ograniczał do dokarmiania blokowych kotów. Marcin był z początku zirytowany takim zachowaniem ojca, potem zaczął się niepokoić.

- Słuchaj, - powiedział pewnej soboty - może zabierzemy ojca na działkę? Trzeba zakręcić wodę na zimę i przy okazji zawieźlibyśmy tę stertę kamieni spod drzwi...

Pan W. od dłuższego czasu gromadził na klatce schodowej wielkie kamienie z zamiarem przewiezienia ich do ogródka, gdzie od wieków budował skalniak. Ustaliliśmy, że w następny weekend pojedziemy moim samochodem.

- Może to mu poprawi humor? - głośno zastanawiał się Marcin.

W następną sobotę wtaszczyliśmy kamienie do auta i ruszyliśmy na działkę. Pan W. był z początku markotny, ale z każdym kilometrem weselał. Ze swadą opowiadał o swoich planach pomalowania domku i dokupienia jakiś drewnianych płotków. Marcin odetchnął z ulgą - ojciec najwyraźniej powoli przewycięzał jesienne przygnębienie.

Działka powitała nas ostrym słońcem, choć ogródek już zasypiał na zimę pod

warstwą opadłych liści. Marcin naszukał się zasypianego ziemią zaworu, wysłuchał zarządzenia o swojej nieudolności.

- Nie tak! Głębiej wsuń rękę! - burczał pan W.

W końcu zakręcił wodę, płosząc przy tym wielkiego zmarzniętego kątnika. Wnieśliśmy do domku plastikowe żaby, drewnianego jelenia i jakieś inne figurki. Wszystko to skrzeczało, ptaszki ćwierkały - rodzice Marcina hołdowali dziwaczemu upodobaniu do wydających dźwięki ozdób. Ojciec rwał się do roboty, ale ze względu na chory kręgosłup musiał być powstrzymywany od większego wysiłku. Mimo to z uporem dziecka próbował przeność różne rzeczy. Śmiał się przy tym, bo uwielbia prowokować. W pewnej chwili poszedł wyciągać ciężką fontannę z oczka wodnego. My za nim.

- Nic nie będziesz robił! - krzyknął Marcin - Zostaw to!

Na koniec usiedliśmy przed domkiem. Marcin coś tam jeszcze sprawdzał, zamykał okno. Patrzyłem na wychudłą postać pana W. Łysa czaszka, kępki rzadkich siwych włosów, głębokie bruzdy na twarzy. Chciwie zaciągał się papierosem. Przypominał sobie naszą rozmowę o nim kilka dni temu. Marcin powiedział wtedy: *On już nie ma celu*. Teraz wydawało się to już nieaktualne. Kryzys został przewyciężony. ❖

Marian Pajdak

Jednoaktówka

(mikrodrama peronowa).

W porze świtania na peronowej ławce w pozycji półhoryzontalnej pochrapuje „wczorajszy”. Obok leży aktówka. Na odgłos dosiadania się kogoś śpiących wybudza się. Błądzi dookoła zaspanymi oczami. Pomrukuje coś pod nosem. W końcu nawiązuje dialog:

- Panie; czy..., czy..., czyja to aktówka? - pyta chrypiącym głosem.

- Eee, chyba nie... Pan, to pan, a nie aktówka - grzecznie odpowiada ten drugi.

- Kto ja jestem, to jeszcze pamiętam - szorstko odpowiada wybudzony. - Ja pytam o aktówkę - czyja ona? - precyzuje.

- Panie - jaka aktówka? Ja nic nie widzę. Usłyszałem, że pan pyta, to odpowiadam grzecznie i tyle - ripostuje współsiedzący.

- Aktówki pan nie widzi? Obudziłem się - widzę: nie moja, a koło mnie leży. Grzecznie zapytałem - ciągnie dialog „wczorajszy”.

- Już panu mówiłem, że nic nie widzę. Dlatego po usłyszeniu pytania, przecząco na nie odpowiedziałem - nieco zdenerwowany dyplomatycznie tłumaczy się współsiedzący.

- Przestań pan gadać w kółko: „słyszałem, mówiłem, nie widzę!”... Pytam konkretnie: czyja to aktówka?! I mów pan zaraz, bo jak się wnerwię, to!... - z agresją atakuje „wczorajszy”.

- Już tłumaczyłem: rozpoznając męski

głos grzecznie odpowiedziałem, że pan to pan, a nie aktówka - pospiesznie zeznaje zaatakowany współsiedzący.

- Widzę, że nie idzie nam się dogadać. A idźże mi tam, skąd przyszedł! I to już!. Spierdalaj, bo przypierdole! - bełkotliwie wykrzykuje na cały peron „wczorajszy”.

- A to dlaczego miałbym sobie pójść? - drażniąco dopytuje współsiedzący. - W oczekiwaniu na podstawienie pociągu ja się cicho i grzecznie dosiadłem. To pan mnie zaczepił, a teraz napastuje. A że aktówki żadnej nie widzę, to szczerze panu odpowiadam.

Tego „wczorajszemu” jest już za wiele. Podrywa się do bitki. Zatacza nad współsiedzącym. Szarpie go.

Ten się wyrывa, odskakuje... I niespodziewanie, niczym nunczako w sprawnych dłoniach mistrza wschodniej sztuk walki, nad głową „wczorajszego” rozlega się świst błyskawicznie rozwiniętej w dłoni współsiedzącego białej laski teleskopowej... Atakujący zmienia się w uciekającego. Aktówka zostaje.

Oczekujący na pociąg czmychają w popłochu na skraj peronu. Tyle ich, co się uśmieją.

Reporter też obserwuje. I tytuł do sensacji na pierwszej stronie już ma: „Peronem dworca kolejowego ślepy gwałt pijanego!”. ❖

Angelika Szlągowska-Mironiuk**Pomnik**

Napuchłam porządnie od pożerania,
obrosłam w konsekwencje oralnych rozkoszy.
Mój kręgosłup jest owinięty warstwami
miękkiego tłuszczu, którego cegiełki
namnażają się jak wirusy
albo komórki złośliwego raka.
Obfitość i nadmiar tego czasu
kumuluje się w moim ciele
wylewa się nad spodnie,
nie daje się okiełznać ciasnej koszuli.
Dostępność fast foodów, informacji i plastiku
odłożyła się w formie fałd i wypukłości
na moim brzuchu.
Dodatni bilans energetyczny i ujemne poczucie,
że cokolwiek warto
zalewają gęstą masą organy wewnętrzne –
wątroba i serce duszą się
i gubią w oleistym sosie przejedzenia.
Powinnam chcieć zniknąć to ciało,
nieposłuszne kanonom,
zabierające zbyt wiele przestrzeni
piękniejszym i zdyscyplinowanym.
Będę je przeżywać i wciąż przeżywać
Poczucie porażki i bycia nie dość,
którym wszystkie jesteśmy pasione.
Zostanę tym cielskiem –
pomnikiem słabości
i buntem wobec siebie.

Urszula Stępień Daszkiewicz**Trwałe uszkodzenia wywołane pamięcią**

Skaryfikowana słownym wieprzem
zapadłam sobie w pamięć.

Tą długotrwałą.

Do dziś przywołuje
i męczy, gorączką wstydu.

Każdy kto patrzy, drwi.

Ona mówi:
– *coś Ty wyglądasz jak milion dolarów!*

A ja do wewnątrz się wstydzę.
Jak wtedy,
kiedy szkolny kolega powiedział:

– *Wolałbym się wyrzygać,
niż powiedzieć Ci coś miłego.*

Justyna Kłosińska**Tłuszcz**

Pan doktor powiedział
- pani nie jest chora,
pani zdrowa jest całkowicie
tylko ten tłuszcz
tłuszczu jest za dużo
tłuszczu musi być mniej
pani powinno być mniej
a ja już wiem
że wymiotuję całkiem zdrowo
tylko jakby za mało
tylko nigdy akurat

Urszula Stępień Daszkiewicz**...więc jestem**

„ *Za późno, żeby coś zmienić, naprawić, załagodzić.
Pomóc. Bliskim zostają bolesne pytania (...)
Przyjaciele będą się zastanawiać (...)
Dlaczego nie wiedziałem, jak cię bolały te przezwiska?
Myślałem, że jesteś kobietą ze stali, takiej nic nie ruszy.
Oni ci dokuczali ale po tobie to sphywało jak po gęsi (...)
ty zawsze śmiałaś się najgłośniej.*”

Maria Mamczur Gruba.

Jesteś grubą świnia !!!

Tak.

Jestem grubą świnia.

Moja wina, moja wina, MOJA BARDZO WIELKA WINA.

Przeto mam skórę miękką i różową.

Skórę, która nie chroni a chłonie do środka.

Skrupulatnie odkładam w synapsach.

Odkładam na brzuchu, udach i wokół siebie.

Jestem grubą świnia wystawioną na rzeź.

Szlachtowanie nie ma końca.

Tortura przedłuża się na całe życie.

Wiesław Marcysiak

Jestem zepsutą zabawką
nakręcaną
Zawsze byłem
Mechanizm nadal działa
Każe wykonywać ściśle ustalone ruchy
Algorytm już się znudził
Okazał się tragiczny
Fatalny
Nie do zaakceptowania
Dłużej
Kiwałem głową ręką i nogą
Z blaszaną melodyjką w tle
Która doprowadza do szału

Więc czekam
Aż mnie obejmiesz
Może w nocy

Wpierw przysiądziesz w nogach łóżka
Albo będziesz mroczyć bardziej
od nocy

Albo może jaśnieć plamą
A może wcale cię nie zobaczę
Może wyjdę ci na spotkanie
Ale nie ruszę skorupy
Może pójdziemy na spacer
Za ręce

Algorytm coraz wyraźniejszy
Powtarzalny coraz bardziej
Aż do granic
Implozji

Natalia Grudzień**Wyrastamy z tej samej ziemi**

Próbujemy zerwać korzonki
Są długie i ciężkie
Dodają kilogramów

Wdech i wydech

W przekroju
Obumarły nam tkanki
Mamy w sobie dwa zwiędłe
Liście klonu
Otoczone krwistą rzeką
Skupioną w niewielkich
plastikowych rurkach

Czas nam się skończył
Twoje ciało opada
Kurczy się
Moje chudnie

ktos rozpuścił powietrze

Marian Lech Bednarek

3,50 zł

Do knajpy wszedł czarny gołąb. Nic nie zamówił, a najadł się i wyszedł. Potem przyszedł z kolegą i obaj spenetrowali wszystkie stoliki, bez lęku, jakby tu nikogo nie było. Albowiem Pan na Górze powiedział: Bądźcie jak te ptaki podniebne, które nie sieją, nie znają, nie zbierają do spichlerzy, a Ojciec niebieski je żywi. Piłem więc moją kawę prawie że podniebną, bo za 3,50 zł i oglądałem widoki za 3,50, jak wchodzili różni i wychodzili z tej dworcowej knajpy, by zniknąć gdzieś w jakimś pociągu, nie zawsze w dosłownym tego słowa znaczeniu. A za szybami czarni policjanci z czarnymi pałami i menele, którzy nie mieli pojęcia, że ogląda się ich za 3,50, a nie mają z tego ani grosza, bo ci z pałami mają więcej. Wkrótce podstawił mi taki czarną czapkę pod nos i mówi „dla byłego górnik”. Niech pan nie przeszkadza, powiedziałem i zacząłem bardziej dziobać moją kartkę, na której zapisywałem właśnie ów tekst, by znaleźć jakieś pożyteczne ziarno, albo może by zagłuszyć sumienie? Czarny jak kruk ze złamanym skrzydłem menel obleciał wszystkie stoliki i wsiąkł w wielkie „Nie” jak w bagno. W widoku za 3,50 znalazłem też czarną dziurę w chodniku, która mówiła „Jestem dziurą, och, ja jestem dziurą, a ty?” W widoku dziury nie widziałem ceny. Ale to wcale nie znaczy, że poczułem jej bezcenneść. Dziura powiedziała, że zamknięta, że dziś nieczynne, że światło jest głębszą dziurą. I ten widok za 3,50, te gołębie na poręczy, w szeregu siedzące i gapiące się w dół, na ulicę. Pozostało mi jednak w głowie wierzące pytanie dziury, ... że niby ona jest dziurą a ja kim jestem? Ja? Ja chyba też jestem jakąś dziurą? Przede mną migają tramwaje za 3,50, czerwone, niebieskie, wypchane marzeniami za 3,50, co wcale nie musi oznaczać mało, bo żeby gdzieś dojechać, to każda cena jest wielka. Ale żeby się nie rozdrabniać, nie filozofować na kształt rozpuszczalnika formy, widok za 3,50 jest widokiem za 3,50 i ni więcej ni mniej. Tyle tu za niego zapłaciłem. Potem zacząłem nasłuchiwać za 3,50. Cóż to za słowa i dźwięki za 3,50 można usłyszeć? Odliczanie przy kasie, brzdękanie i pocieranie pieniąciami o tackę. Bigos proszę, herbatę proszę, jajecznicę proszę, mielony z ziemniakami i z surówką proszę. Stukot obcasów kelnerki, które jak mewa na molo nagle wpadają i oznajmiają: przyleciałyśmy, przyleciałyśmy, co tu?, co tu?, komu się nie podoba!? Dawać wypite filizanki i zamawiać nowe. A jak nie, to wynocha! Tup, tup, tup, tup, stuk, stuk, stuk. I dzwonią naczynia w kuchni jak tamburyny potrząsane w jakimś tajemniczym rytuale. Szeptu, szeptu, liczu, liczu, mechu, mechu. Wszyscy do komórek szemrają, grypsują, szcękają, wrzucają słowa jak kamienie, jak świeże bułeczki, albo jak pożegnalne róże. W oddali megafon dworcowy dudni jak społeczny ślepiec bijący głową o ścianę. Wielki ślepiec o imieniu Ludzkość ciągle gada, że chce jechać tu albo tu. Za 3,50 uderzyły łyżeczki o talerzyki, by mogły się podeprzeć o podbródek czyjeś stare ręce i siwe przerzedzone włosy posterczeć jeszcze jak milczące, skamieniałe dźwięki dawnego koncertu krwi ❖

Stefan Pastuszewski

Jest taki wiersz

Валерій Кикоть

* * *

*Поясни мені, Боже, засніжену даль
І мене в ній такого самотнього,
Поясни оцю сизу, безкраю печаль,
Де вершини граничать з безоднями.*

*Усіх тих, хто у нас є, і в кого є ми,
І все те, що світило й померкло,
І цей біль, що у мене чи в серці зими,
І цей світ – немов чорне дзеркало.*

*І мільйони людських покалічених доль,
І братів вікову ворожнечу,
І театр життя, і мою у нім роль,
І волаючу цю порожнечу.*

*І тверезу, холодну міжзоряну вись,
Куди скоро я, зрештою, кану,
І ці сонячні очі, що в мене впились
Глибиною небесних вулканів.*

*І маленьку цю квітку, і запах весни...
Поясни, поясни, поясни!*

Walerij Kykot

* * *

*Wyjaśnij mnie, Boże, śnieżną zamieć
I mnie w niej takiego samotnego.
Wyjaśnij szary wieczór i bezkresną pamięć,
W której u stóp szczytów psy przepaści leżą.*

*Tych wszystkich co z nas i my z których,
I to wszystko, co świeciło, aby zgasnąć,
I cały ból co się w sercu smuży,
I czarne zwiędnięcie kiedy świata jasność.*

*I miliony ludzkie obolate dole,
I braci, co poróżnili się na wieki,
I teatr życia, i moją w nim rolę,
I pustkę – gdy zamykam oczy – pod moją powieką.*

*I międzygwiazdną zimną halę,
W której ja wkrótce pograżę się cały,
I te słoneczne oczy, które dziś mnie palą
Niczym niebiańskie, gorące wulkany.*

*I maleńki ten kwiatek i zapach wiosny...
Wyjaśnij, wyjaśnij, po trzykroć wyjaśnij.*

Z ukraińskiego przełożył Stefan Pastuszewski

Jest to wiersz, który mógłbym napisać i który w zasadzie od pewnego czasu piszę różnymi wierszami. Wiersz o calości, czyli o ludzkiej i kosmicznej zarazem egzystencji. Nie tyle o jej bezsensie, co sensie nieznanym, niedostępnym ludzkiemu umysłowi, stąd prośba, a raczej żądanie skierowane do Stwórcy.

Jest to równocześnie wyznanie wiary, i to w Boga chrześcijańskiego, osobowego, i w osobową egzystencję człowieka, choć podmiot liryczny nawiązuje też do nirwany, czyli pograżenia się w kosmicznej nieskończoności.

Przy miałkach jeśli idzie o temat, choć często monumentalnych jeśli chodzi o formę, dzisiejszych realizacjach poetyckich, wiersz Wa-

lerija Kykota błyszczący jak najjaśniejsza gwiazda. Nie gwiazda *nova*, tylko stary, odwieczny płomyczek zastanowienia się nad ludzką egzystencją.

Już raz („Akant” 2025, nr 11, s. 26-27) polecałem wiersz Walerija Kykota o czasie, a raczej o trwaniu, gdyż czas jest pojęciem sztucznym, wymyślonym, a trwanie jest bardziej namacalne. Oby takich doniosłych wierszy było więcej! ❖

Maria Balcer

Jest taki wiersz

Eligiusz Dymowski

Krajobraz światłoczuły

*nie pozwól umierać wodzie
błysk tafla usypia wszak czujność
wie o tym dobrze kamień
kiedy przebija jej serce*

Która ze stron ponosi śmierć w starciu wody z kamieniem? Błyszcząca tafla przebita kamieniem traci swą nieskazitelną jednolitość, rozbija się na tysiące drżących fragmentów, które jednakże, po długim falowaniu, znów taflą się stają. Kamień, zniemacka brutalnie przebijający lustro wody, burzący jej spokój i przejrzystość aż po samo dno, na owym dnie osiadłszy, nie jest zdolny wynieść się nad powierzchnię.

Ze starcia wody z kamieniem żadna ze stron nie wychodzi bez strat, jednakże te, które są udziałem kamienia, wydają się większe, nieodwracalne. Ale czy na pewno?

Co jest większym niebezpieczeństwem dla wody: bezruch czy utrata czujności? Pławienie się we własnym blasku? Pozorny spokój ukrywający zamulone dno?

Co jest większym niebezpieczeństwem dla nas – ludzi – skoro woda jest i symbolem, i gwarantem życia, a jej czystość (dosłowna i przenośna) jest koniecznością?

„Nie pozwól umierać wodzie/ błysk tafla usypia wszak czujność”; zatem to opieszałość i pozór są przyczynami katastrofy. Zbyt czuli na blichtr świata, na światło widzialne, tracimy czułość na to, którego nie widać. Zamiast – niczym woda – podążać naprzód i drążyć skałę, stoimy w miejscu, oparcie znajdując w mulistym dnie. Budujemy swe złudzenia, okrywając się widzialnym blaskiem samozadowolenia, które oslepia tak mocno, że przestajemy widzieć nadlatujące kamienie. Ale czy fatalnych kamieni ustrzec się można? Rzecz, zapewne, w tym, by narobiły one jak najmniej szkody. By nie pozwoliły wodzie umrzeć, nie przeszkodziły Światłu przegłądać się w jej nurcie. By nie pozwoliły nam rozbić się na tysiące drżących fragmentów, które, tracąc swój jednolity, widzialny blask, tracą wszystko, zyskując ciemność.

Ten krótki wiersz krakowskiego poety Eligiusza Dymowskiego wydał mi się jednym z kamyków; rzucony w stojącą wodę – zapadł we mnie przestroga. ❖

Siedem ważnych dla mnie książek

ZBIGNIEW NIENACKI – „NIESAMOWITY DWÓR”

W młodości byłem czytelnikiem książek młodzieżowych Zbigniewa Nienackiego, Edmunda Niziurskiego, Stanisława Pagaczewskiego, Jana Longina Okonia czy Adama Bahdaja. Z kilku najbardziej cenionych powieści wybrałbym „Niesamowity dwór” Zbigniewa Nienackiego, gdyż chętnie czytałem serię „Pan Samochodzik...”, a wiele fabuł innych utworów zatarło mi się w pamięci. W każdej książce z tej serii oprócz kryminalnej fabuły, w której samotny pan Tomasz pracownik Ministerstwa Kultury i Sztuki zapobiegał w wywożeniu na Zachód z Polski cennych kolekcji i dzieł sztuki, pojawiało się sporo wiadomości z historii i historii sztuki. We wspomnianej powieści współpracownik pana Tomasza, hippisujący student Bigos mając dość poszukiwań złodziei, rozplątywania zagadek kryminalnych zaśpiewał humorystyczną piosenkę, którą do dzisiaj pamiętałem: „Niech tam sobie straszne dwory, straszne dwory i potwory. Ja na to radę mam – segregatory”. Praca biurowa w tym przypadku wprowadzała w życie pewną monotonię, która uspakajała. I co ciekawe postać hippisa Bigosa na pewno była ciekawsza niż opisy hippisów z cenionej powieści Kazimierza Orłosia pt. „Cudowna melina”, w której głównie dostawali w twarz. Oprócz humoru, „Niesamowity dwór” miał dosyć ciekawą fabułę.

STANISŁAW LEM – „BAJKI ROBOTÓW”

Nie przeczytałem wszystkich bajek z

książki Lema pt. „Bajki robotów”, ale te które poznałem wywarły na mnie spore wrażenie przez połączenie treści science fiction ze stylem baśni i bajki. Na pewno było to spore odkrycie w latach podstawówki, że na liście lektur było coś zdumiewającego, bo chociaż „Ten obcy” Marii Jurgielewiczowej, czy „Krzyżacy” Henryka Sienkiewicza też mi się podobały, to ta wydawała mi się większym odkryciem. Czymś co samemu chciałoby się napisać. Na pewno bajki Lema inspirowały mnie do młodzieńczych prób literackich.

DAVID MORELL – „PIERWSZA KREW”

„Pierwsza krew” Morella to książka, która na lata mi uświadomiła, że czytanie książek i oglądanie ich ekranizacji to sprawy zupełnie różne, nawet wzięwszy pod uwagę to, że pierwszy film z cyklu „Rambo” w reżyserii Teda Kotcheffa, był w miarę dobrym filmem. Cały dramat Rambo był ukazany w książce nie tylko behawioralnie przez opis zachowania głównego bohatera biorącego udział w nieprzyjemnych wydarzeniach na amerykańskiej prowincji, ale przez namysł nad nimi, co zostało wyrażone w monologu wewnętrznym. Weteran wojny w Wietnamie został odrzucony przez Amerykanów, ale do końca się nie poddawał i tragiczniej skończył niż jego odpowiednik na filmie.

FRYDERYK NIETZSCHE – „LUDZKIE, ARCYLUDZKIE”

Na początku lat 90-tych w czasopiśmie o muzyce metalowej „Morbid Noizz” jeden z redaktorów postanowił przybliżyć sylwetkę niemieckiego filozofa w kontekście satanizmu filozoficznego, czy humanistycznego. Bardzo mnie to zaintrygowało, bo np. religia mnie zbytnio nie interesowała wówczas, ale też np. nie myślałem, żeby urządzić czarne msze, czy w ogóle uczestniczyć w jakichś mrocznych obrzędach. W pobliskiej księgarni na os. II Pułku Lotniczego, teraz tam od mieścił się sklep z używaną odzieżą, kupiłem reprint „Ludzkiego, arcyłudzkiego” w tłumaczeniu Leopolda Staffa i ku mojemu zdziwieniu książka nie dotyczyła satanizmu, krytyki religii, ale kobiet. Dopiero po studiach nadrobiłem zaległości z innych książek Nietzschego.

HOWARD PHILIPIS LOVECRAFT – „ZEW CTHULHU”

Także należałem do tych czytelników, którzy na początku lat 90-tych czytali horrory, które wówczas ukazywały się w Polsce szeroko. Na pewno te ciekawsze pisali Stephen King, czy Graham Masteron, a te słabsze np. Guy N. Smith. Kolega z liceum Łukasz P. zainteresował mnie starym zbiorem opowiadań „Zew Cthulhu” Lovecrafta wydany przez Czytelnika w 1983, który pozwolił odkryć, że horrory mogą być ciekawie napisane i nie schematyczne. Naprawdę mogą wciągać i mieć mroczną atmosferę. Pisarz poza tym uwarżliwiał na to co nieznanne. Poza tym ostatnie odkrycia astronomiczne pozwoliły wysunąć teorię naukowcom, że woda na Ziemi pojawiła się na spadającym meteorycie,

gdyż po wielkim wybuchu była ona sucha jak Sahara. Jako, że od lat biolodzy pisali, że wszelkie życie na Ziemi pochodziło z wody, to koncepcja Lovecrafta o pochodzeniu człowieka z kosmosu, nie wydawała mi się tak absurdalna. Jak i dociekania Ericha von Dänikena.

MARCIN ŚWIETLIICKI – „37 WIERSZY O WÓDCE I PAPIEROSACH”

To była pierwsza książka Świetlickiego, która mi zupełnie podszła, gdyż dopiero na studiach poznałem „Zimne kraje”, wcześniej czytałem nieco zmienione wiersze z debiutanckiej książki w tomiku pt. „Zimne kraje 2”, „Trzecią połowę” i „Schizmę”. Na pewno w „37 wierszach o wódce i papierosach” spore wrażenie robiły dłuższe, egzystencjalne wiersze pisane ze sporym prozatorskim rozmachem, niektóre korespondowały z treścią zajęć w studium dla pracowników socjalnych, ale także sporo było w książce wierszy, które były tekstami Świetlicków i to tymi cenionymi przeze mnie jak „Opluty”, „Nieprzysiadalność”, „Henryk Kwiatek” czy „Olifant”. Akurat należałem do tych czytelników Świetlickiego, którzy poznali jego twórczość dzięki muzyce jego kapeli, do czego pewnie nie wypadało się przyznawać.

JON FOSSE – „SEPTOLOGIA”

Mimo, że nie po raz pierwszy czytałem powieść o malarzu, bo poznałem wcześniej „Werniks” Williama Whartona, czy „Sinobrodego” Kurta Vonnenguta to trzy powieści Fosiego „Drugie imię”, „Ja to ktoś inny” i „Nowe imię” składające się na „Septologię” ujęły mnie ich niezwykłą prostotą i klimatem norweskiej prowincji, ale także religijnymi („Bóg jest ciemnością”) i artystycznymi rozmyślaniami. Malarz Asle malujący swoje obrazy w domu nieopodal fiordu i kontaktujący się z galerią w Bergen, by je sprzedać, także rozpamiętywał swoje dzieciństwo, lata studiów, czy małżeństwo i fabuła rozwidlała się w powieściach na teraźniejszość i przeszłość. Prostota dialogów, ludzka uprzejmość, dramaty utonięć, śmierci żony i przyjaciela, pokazywały, że mimo osiągnięcia sukcesu, norweski malarz ani się nie wynosił nad innych, ani nie starał się być kimś innym niż był. Co ciekawe styl powieści składających się na „Septologię” był awangardowy i każda z nich zapisana była w jednym zdaniu. I na pewno w „Septologii” forma nie górowała nad treścią. Co ciekawe wierność małżeńska w powieści nie wydawała się kiczowata, ani trywialna. ♦

Zadrzała ziemia.

Jak u Hemingwaya, wybił dzwon. Czas rozeznac się nam, piszącym, i nie tylko, także czytelnikom, w tym co nas stworzyło, ukształtowało. Przejrzyć się w Źródle.

Drodzy Państwo!

Mamy przyjemność zaprosić państwa do nowego cyklu Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych. Prosimy, aby napisali Państwo o książkach, które są dla Was najważniejsze.

Może być ich dziewięć, może trochę mniej lub więcej.

Jesteśmy ciekawi.

KRYSTIAN KAJEWSKI

Zakład Optyczny



AUTORYZOWANA PRACOWNIA OPTYCZNA ZAPRASZA

Pn. - pt. 10:00 - 18:00

Sob. 10:00 - 13:00

D.H. HERMES
ul. Wojska Polskiego 23
52 361 96 46

GABINET OKULISTYCZNY

Pn., śr., czw., pt. od 16:00

ul. Niedźwiedzia 7
52 322 47 47

GABINET OKULISTYCZNY
Pn., wt., od 16:00; pt. od 14:30

Roman Sidorkiewicz

Przybysze z dalekiego Pietrozawodska



W Bydgoszczy zamieszkali polscy reparańciani pochodzący z dalekiej, północnej rosyjskiej Karelii. Czteroosobową rodzinę tworzą Lubow Tuczyńska z córką Anną, jej mężem Wasilijem Jeremiejewem (Vasilii Eremeew) oraz z ich czteroletnią Marysią. Historia rodziny pani Tuczyńskiej jest typowa dla wielu Polaków w latach tzw. jeżowszczyzny, w okresie terroru lat 1937-1938.

Pani Lubow jest wnuczką Stanisława Tuczyńskiego, Polaka z krwi i kości. Był oficerem Armii Czerwonej stacjonującym w jednostce na Białorusi w pobliżu granicy polskiej. 11 lipca 1937 roku wydany został rozkaz Jeżowa o likwidacji polskiej dywersji na terenie ZSRR. Życie straciło ponad 111 tysięcy naszych rodaków. Aresztowano masę Polaków pod byle pretekstem, a najczęściej bez żadnego pretekstu. Byli poddawani okrutnym śledztwom. Większość aresztowanych zostało rozstrzelanych, szczęściarze trafili z wysokimi wyrokami do łagrów.

Stanisław Tuczyński idealnie pasował do „modelu” – Polak, dywersant w armii i to w pobliżu granicy „pańskiej” Polski. 30 sierpnia 1937 roku został aresztowany i ślad po nim zaginął. Po latach, w roku 1958 rodzina otrzymała zaświadczenie o pośmiertnej rehabilitacji Stanisława Tuczyńskiego: „na rozkaz trójki NKWD obwodu kijowskiego Ukrainiejskiej SRR, w dniu 27 września 1957 roku został zastrzelony z powodów politycznych”.

Rodzina Stanisława pieczołowicie przechowuje ostatni list do żony datowany 27 czerwca 1937 r.: „Będę czekał na Ciebie z dziećmi z niecierpliwością. Całuję Ciebie i dzieci. Kocham Was, Twój Staś”.

Trzydziestopięcioletnia żona Klaudia pozostała z dwójką małych dzieci i z opinią „żona wroga ludu”. W roku 1940 podjęła desperacką decyzję. Spakowała to, co mogła unieść i razem z dziećmi poszli na dworzec. Bez biletów wsiedli do pociągu, który odjeżdżał do Krasnojarska na Syberii. Tłoczyli się w jakichś barakach. Jej syn Bolesław i przyszły ojciec pani Lubow, urodzony w roku 1927, pracował w fabryce amunicji jako

tokarz. Po wojnie poszedł uczyć się do technikum górniczego. Żył wśród kpin, uśmieszków i pogardy jako syn „wroga ludu”. Jego dzielna matka zachowała polskie nazwisko, mimo iż rodzina brata męża zmieniła je w latach represji. Twierdziła „choć mnie zabijają, nie zmienię nazwiska”.

Bolesław Tuczyński po ukończeniu technikum otrzymał propozycję pracy we Władywostoku lub w Pietrozawodsku. Wybrał ten drugi. W roku 1954 wylądował mieście zwanym „kamiennym rajem”. Pokochał północny kraj. Tu spotkał karelską dziewczynę imieniem Szura, która stała się jego wsparciem i miłością życia. Z tego związku pochodzi pani Lubow, urodzona w roku 1957. Bolesław odnosił sukcesy zawodowe. W karelskim mieście Kondopoga pracował i kierował nową gałęzią przemysłu – odlewaniem kamieni. Proces odbywa się w temperaturze 1300 stopni i jest fantastycznym widowiskiem.

Pani Lubow, jego córka, ukończyła studia ekonomiczne na miejscowym uniwersytecie. Pracowała jako księgowa. Wyszła za mąż i urodziła córkę Annę. Niestety, małżeństwo szybko się rozpadło, a pani Lubow powróciła do nazwiska panieńskiego. Wychowywana była, głównie przez ojca, w kulturze polskiej. W ich domu pełno było polskiej literatury – Sienkiewicz, Prus, Mickiewicz.

– Zawsze marzyłam, aby zamieszkać w Polsce – twierdzi pani Lubow.

Jej córka Anna ukończyła wydział historii na miejscowym uniwersytecie. Wraz z mamą aktywnie udzielały się w organizacji „Regionalna Narodowo – Kulturalna Autonomia Polaków *Karelska Polonia*”. Pracowała też jako przewodnik w Karelii. Na każdej wycieczce opowiadała o wyjątkowym odlewaniu kamieni i pokazywała je, ułożone w formie kafelek, na skwerze rzeki Łososianka. Z dumą podkreślała wkład swego dziadka Bolesława w tę gałąź przemysłu.

Anna wyszła za mąż za Rosjanina Wassilija, absolwenta wydziału chemii na miejscowym uniwersytecie. Urodziła córeczkę Marię.

Po napaści Rosji na Ukrainę postanowili wyjechać na stałe do Polski. Nie zgadzali się z sytuacją polityczną. Pani Tuczyńska źle czuła się w kraju, w którym zamordowano jej dziadka, a mama wiele lat czekała na wieści o swoim mężu, łudząc się, że przebywa on gdzieś w łagrach, a może nawet walczy na froncie. Łatka „rodziny wroga ludu” przypięta została na całe życie w ZSRR, a później nawet w Rosji. Poza tym w Pietrozawodsku istnieje swego rodzaju kult Jurija Andropowa (1914-1984), szefa KGB i następcy Breżniewa, który zaczynał w tym mieście swą wielką karierę, będąc w latach 1940-1951 szefem Komsomolu, a następnie II sekretarzem partii w Republice Karelo-Fińskiej istniejącej w latach 1940-1956. Obecnie jest to Autonomiczna Republika Karelii wchodząca w skład Federacji Rosyjskiej.

Sprzedali mieszkanie w Pietrozawodsku i ruszyli do Polski, do Bydgoszczy. Od-

Uchodźcy, losy, decyzje

ważna to była decyzja. Tu wszystko było dla nich obce, nowi sąsiedzi, brak znajomych. Nabyli mieszkanie własnościowe, spółdzielcze i razem mieszkają. Pani Anna znalazła zatrudnienie w biurze rachunkowym, jej mąż Wassilij pracuje jako specjalista ds. rekrutacji zawodowej w ośrodku ukraińskim. Chciałby on pracować w swym zawodzie, jako nauczyciel chemii, ale musi opanować biegle nasz język.

Pani Tuczyńska, jej córka i wnuczka otrzymały Kartę Polaka i niedługo spodziewają się polskiego obywatelstwa. Natomiast pan Wassilij jako Rosjanin musi jeszcze sporo poczekać. Tęskni on jednak za rodziną w Pietrozawodsku. To choroba każdego emigranta.

Wszyscy mają ambicje poznać biegle nasz język. Najlepiej radzi sobie z tym problemem czteroletnia Marysia; uczęszcza do przedszkola i jest w praktyce dwujęzyczna. Pani Lubow pilnie uczęszcza na kursy języka polskiego w bydgoskiej *Świetylicy Ukrainiejskiej* i robi duże postępy. Cała rodzina aktywnie spędza wolny czas – zwiedzają Polskę, uczęszczają na spektakle teatralne, chodzą do muzeów, uczą się polskiej historii.

Wszyscy chwalą sobie życie w Polsce i dziękują Polakom za życzliwe przyjęcie. Tu pozostaną.

PS Korzystałem z opracowania Anny Eremeewej pt. *Najdroższe imię dla mojego serca* w książce *Polacy w Karelii*. Są tam arcyciekawe opisy dziejów Polaków w Karelii. Książka wydana została przy wsparciu finansowym Konsulatu Generalnego RP w Petersburgu ❖.

Henryka Ziaja

Czas na Rotę

Kiedy znów straszyc będą ludzi napaścią, wojną, wrogiem, głodem, alarmy włączać, czas się zbudzić. Oni wciąż stoją ponad prawem.

Nie ufaj hasłom, wzniosłym słowom. Nie pozwól ponieść się emocjom, bo cię kosztować będzie drogo gdy się im poddasz z uległością.

Komuś się marzą dobra wszystkich i chcą zarządzać bogactwami. Chcą twego życia i tych bliskich a ciebie mają utopiami.

Nie wierz we wszystkie wzniosłe hasła którymi ludzka i zonglują. W nich praworządność dawno zgasła a tylko krwi twej potrzebują.

Im żadna krzywda nie zagraża. Ty za nich będziesz krew rozlewać. Historia znowu się powtarza. Czas, żeby Rotę znów odśpiewać.

„Akant” do bibliotek

Coraz więcej bibliotek, które nie mają prawa do otrzymania egzemplarza obowiązkowego (tylko 15 bibliotek), przesyłanego przez Poczta Polska za darmo, **prosi o „Akant”**.

Nie jesteśmy w stanie sprostać tym potrzebom, bowiem wysyłka jednego egzemplarza kosztuje 7 złotych, co w skali całego roku daje około 100 zł. Prosimy więc Czytelników i Autorów o wpłacenie na cel wysyłki bibliotecznej dowolnej kwoty. Co miesiąc publikować będziemy efekty zbiórki oraz informację, która biblioteka została objęta tą akcją. Wpłacając na ten cel można też wskazać bibliotekę, którą należałoby wzbogacić „Akantem”. Najpierw należy zapytać się o zgodę.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem *Biblioteka*.

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Nr konta Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
03124011831111001002291025

Ślub

Ślub był opóźniony, jakby pan młody chciał go załatwić tylko jakoś po drodze, w szeregu swoich codziennych spraw, co pani młodej bardzo chmurzyło czoło. Zostałem poproszony o robienie zdjęć. Aparat z woreczkiem filmów odtąd nieustannie zaprzętał mi głowę. Filmy były krótkie, 12 klatkowe i ciągle trzeba było je zmieniać. To mi nawet odpowiadało, bo zbyt obce sobie towarzystwo mierziło mnie. Po kilku kieliszkach okazało się jednak, że większość to moja rodzina. Wielu pierwszy raz widziałem na oczy. Przedstawiliśmy się sobie. Jestem twój ojciec – ktoś powiedział. A ja jestem twoja matka, miło mi – dodała korpulentna kobieta. To niby ja jestem ich syn? Każdy w duchu myślał „ta niedorobiona figura, ten podejrzany typ, to moja rodzina, ten dziwny delikwent z długim nosem, chudy i jak dziecko przy swojej obszernej żonie, to mój kuzyn”. Ów właśnie jegomość, gdzieś pod sześćdziesiątkę, wstał nagle od stołu i podszedł do mikrofonu. Przyznał, że pierwszy raz w życiu trzyma w ręku mikrofon i powiedział pierwszy raz w życiu kilka słów, zdziwiony, że tak je słyhać, że jego słowa skierowane do pana

młodego, a mojego brata, tak lekko leca w świat i docierają do celu, że słyhać go wreszcie. On, który całe życie musiał ciężko pracować i wyklócać się o dojście do głosu, teraz mógł coś wreszcie wyraźnie i z mocą powiedzieć i wszyscy musieli te słowa usłyszeć. Wszyscy, jakby sam papież przemówił. A powiedział i dużo i mało. Powiedział to, co być może zawsze chciał powiedzieć, wyraźnie i głęboko. Powiedział tylko „cześć” i wymienił imię mojego brata, ciepło i z szacunkiem. I to wszystko. I nikt do tego papieża nie miał pretensji. Wprost przeciwnie, czuło się aprobatę. Gdy wesele rozhuštało się, niektórym spadły buty z nóg, dla wygody tańczenia. Innym rozwiązały się języki i poluzowały zaciśnięte szczęki. Mniej więcej wiedziałem kto jest kto. Lecz nad całym tym skromnym weselem, liczącym około 20 osób, unosił się duch niezgody. Nie tej małowymiarowej, stolikowej, tylko wielkiej niezgody na dzisiejsze czasy, niezgody naburmuszonej jak bombowiec międzynarodowych linii lotniczych „Non Concorde”. Ten duch wisiał gdzieś w powietrzu, w ciemnych chmurach, groźnie mruczał, mlaskał,

przełykał ślinę, chrząkał i lypał z ukosa. W miarę opróżniania butelek, duch pogodniał i wykazywał nawet chęć do szerszych rozmów. Muzykanci grali pełną parą. Lecz nad stołem pojawiał się od czasu do czasu ten, który musiał się pojawiać, bo mieszkał w nas, bo nie był naszym rosółem ani kotлетem, ale żył z nami jako zapowiedź dobrego wesela, od dawna, pojawiał się duch umierającego papieża, mieszał się z duchem niezgody i wtedy ludzie więcej jedli i pili i rzucali się w taniec. A gdy dotarła wiadomość o jego śmierci, ludziom oklapły skrzydła i nie chciało im się już fruwać. Duch zmarłego polskiego papieża zawisł nad wszystkim. Spakowaliśmy się i opuściliśmy salę. Był to dzień, w którym od ślubów w urzędzie stanu cywilnego aż się roilo, bo przed śmiercią ani przed życiem nie uciekniesz. Nowożeńcy byli punktem centralnym, zrobiłem im nawet dużo głupich zdjęć i pozostałym gościom także, ale uwagę wszystkich przykuwał także olbrzymi biust, który należał do mojej rodziny. Gdy tańczył lub przechodził nam pod nosem, wszyscy wbijaliśmy w niego oczy, niczym widelec w kotlet schabowy. Zachmurzona twarz jego właścicielki dodawała mu specyficznego uroku. Nowożeńcy połyskiwali obrączkami. Gdzieś pomiędzy śmiercią unoszącą się nad światem, nowożeńcami marzącymi o przyszłości i dużym biustem, kryło się szczęście. ♦

Wojciech Wiercioch

Książki mojego życia

Pewien bydgoski pisarz, aktywny mój znajomy z Facebooka, zachęcił mnie do ułożenia krótkiej listy dzieł, które najbardziej na mnie wpłynęły. Na liście miało się znaleźć tylko siedem książek. A dlaczego nie dziesięć albo siedemdziesiąt siedem? Siedem, nie więcej. Właśnie dlatego zachęta owego literata wydała mi się ciekawym wyzwaniem. Wybranie kilku kilogramów z tony przeczytanych arcydzieł (większych i pomniejszych) – to zadanie tak poważne, że aż śmieszne. Więc i tym bardziej ciekawe.

Ziarno padło na podatny grunt – na szarą glebę mojego mózgu, która uwielbia przeróżne rankingi. Te układam sobie od chwili, gdy zwariowałem... czyli od kiedy postanowiłem zostać pisarzem. W swoich notatkach mam tych rankingów sporo: lista najwybitniejszych prozaików, poetów, dramaturgów, eseistów, reportażyistów, aforystów etc. Niekiedy dzielę się tymi rankingami w mediach społecznościowych, a podczas Festiwalu Literatury Niezależnej w Krakowie stworzyłem nawet listę najwybitniejszych pisarzy małopolskich XXI wieku (co wywołało duży odzew; a najbardziej atakowali mnie ci, którzy uzyskali pozycję niższą niż ta wynikająca z ich egocentryzmu).

Ad rem. Przejdźmy do tych siedmiu dzieł – i literackich, i filozoficznych, może też innych – które ukształtowały mnie w największym stopniu. Na tej liście nie znajduje się Biblia, która towarzyszy mi od dzieciństwa, na każdym etapie życia i rozwoju duchowego. Lecz Biblia to cały Kosmos

i trudno ją z czymkolwiek porównywać. Także Szekspira pomnę, gdyż jest w nim Cała Ziemia, planeta ludzi, bestii, duchów.

Moja krótka lista nie będzie rankingiem, a raczej chronologicznym zestawieniem książek, bez których życie na bezludnej wyspie byłoby dla mnie zbyt uciążliwe. Wyłącznie dorosłe lektury (choć w dzieciństwie jest się niesamowicie chłonnym i plastycznym, i bez Astrid Lindgren, Alfreda Szklarskiego czy Jacka Londona dziecko pozostałoby o wiele dłużej duchowym niemowlęciem). A zatem zaczynam od dwudziestego roku życia...

1. JOSEPH CONRAD, *Nostramo*.

Nie Fiodor Dostojewski, nie Tomasz Mann, nie Virginia Woolf. Nie *Lord Jim*, nie *Jądro ciemności*, nie *Tajny agent*. Polsko-angielski pisarz towarzyszył mi od najmłodszych lat, ale brałem go najpierw za marynistę i faceta od powieści podróżniczo-przygodowych. Bo właśnie to potrafi zafascynować nastolatka. Gdy już jednak postanowiłem (albo coś we mnie lub nade mną postanowiło) wejść na literacką drogę życia i poczułem się zobowiązany nadrobić niejaki zaległości w lekturach – na pierwszy ogień poszedł właśnie Joseph Conrad. Bo znajomy, swojski, zdawałoby się – przystępny. Wtedy właśnie oczarowała mnie i zaczarowała (gdy już otrząsnąłem się z niejakiego zaskoczenia) ta właśnie powieść. Obfita, skomplikowana, głęboka jak Rów Mariański (choć powierzchowni czytelnicy

cy widzą tylko to, co się unosi na falach). Och, ta głębia psychologiczna, filozoficzna również, i to w połączeniu z historią „wymyślonej” Ameryki Południowej, na którą chrapkę ma Ameryka Północna. Wielka panorama egzystencjalna z powikłanym splotem spraw społecznych, ekonomicznych i politycznych. I każda nośna idea, pojawiająca się na kartach tej powieści, posiada swoich wyznawców i popleczników oraz antagonistów. Obraz-symbol uczuć, przemyślności, pomyślności, klęsk, ideałów (odczuwanych szczerze lub markowanych tylko). Wojna wartości na tle zawirowań kulturowych. I tyle, po prostu arcydzieło. Do tego fascynująca fabuła i mroczny nastrój. Wszystko, czego trzeba, żeby człowiek na nowo sobie ułożył światopogląd.

2. MARCEL PROUST, *W poszukiwaniu straconego czasu*. Jedna wielka powieść w siedmiu tomach. Narracja przeplatana niezwykle mądrymi esejami oraz uroczymi poematami prozą. Z dodatkami subtelnej dowcipu. Misterium czasu, magia skojarzeń, wspomnień i marzeń. Podróż w poszukiwaniu przyszłego powołania pisarskiego. Czulość i perwersja, snobizm i artyzm – myśl oplatająca byle głogi czy topole. Plus uważne lektury, fascynacje muzyczne i plastyczne – cały świat zawarty w cząstce Paryża i francuskiej prowincji. No i ten kontemplacyjno-medytacyjny styl o niepodrabialnym uroku. Język tak cudowny (dzięki Boyowi-Zeleńskiemu), że można przy nim płakać i gryźć palce z zazdrości. Jak on to zrobił? Ile się nauczył od Pascala, Balzaka, Flauberta, Bergsona (swojego kuzyna)? Czy ktokolwiek może się z nim równać? Warto pisać po takim dziele totalnym? Bez tej lektury na pewno byłbym

innym – gorszym – człowiekiem. Jak tu się dziwić, że w nim zakochał się arcy mistrz Conrad? Jaka szkoda, że autor *Lorda Jima* nie doczekał opublikowania całego tego cyklu powieściowego...

3. THOMAS STEARNS ELIOT, *Wybór poezji*. Często powtarzam, że polska poezja XIX i XX wieku jest najwspanialsza na świecie; Rosjanie, Francuzi, Anglicy, Niemcy nie mogą się równać z naszymi geniuszami (choć Rainer Maria Rilke to przecież arcy mistrz). Ale do tego zestawu postanowiłem wybrać właśnie Eliota (za co bardzo przeprasza Zbigniewa Herberta). Czym się kieruję? Na pewno znaczenie ma fakt, że amerykańsko-angielskiego wielkoluda czytałem w dwóch językach, tłumaczyłem (dla siebie), parafrazowałem (dla innych). I że jego eseje oraz konserwatywne poglądy są mi szczególnie bliskie. Najbardziej porywa mnie emocjonalny i duchowy klimat jego wierszy i poematów oraz niejednoznaczność, wielowarstwowość znaczeń (a więc i słowne łamigłówki, szarady intelektualne, symbole mitologiczne i biblijne). Mistrzostwo językowe, te niespodziewane metafory czy porównania łączące ziemię z niebem. Dynamizm i plastyka stylu, innowacyjność formy. Wystarczy.

4. FERNANDO PESSOA, *Księga niepokoju*. Mała biblia dla wierzących agnostyków i sceptycznych mistyków. Fikcyjny dziennik wymyślonego narratora, który jest księgowym i filozofem, samotnikiem i cesarzem świata (w wyobraźni), poetą i zgryźliwcem. I na tych kartach sny przechodzą w urojenia, twarde przedmioty zamieniają się miejscami z nieokreśloną, nieznosną lekkością bytu, pełną emocji, doktryn, spostrzeżeń i rojeń. Introspekcja narratora przewierca kulę ziemską na wylot, a podróże kosmiczne trwają w duszy dziwaka. Jaźń w poszukiwaniu straconego sensu. Plus absurd istnienia – sens logiczny aż do bólu i orgazmu. Fragmenty łączą się w duchową panoramę, zaś obrazy kondensują się w formie szokujących paradoksów, aforyzmów. A nad wodami egzystencji unosić się racy słowo (małe) pomieszane ze Słowem (wielkim, tuż nad przepaścią Cudownej Tęczy). Rzecz niepodrabialna, niepojęta. Czytana przeze mnie (w dwóch tłumaczeniach) właściwie cały czas, w małych dawkach, ale kompulsywnie.

5. ANTONI KĘPIŃSKI, *Schizofrenia*. Właściwie trudno jest mi wybrać jedną książkę mojego medycznego i eseistycznego mistrza. Zdecydowałem się jednak polecić dzieło dotyczące najgłębszych stanów ludzkiej psychiki – choroby, której najbliższej do poetyckich wlotów i mistycznych uniesień. Ale też demonicznych udręczeń. Nawet inteligentny, dobrze poukładany człowiek nie potrafi zgłębić tajników swojej duszy – co dopiero człowiek wrażliwy i utalentowany, jak choćby Vincent van Gogh, który pogubił się w królestwie swego mózgu. Skoro geniusz może być wariatem – co sądzić o ludziach szarych, przeciętnych? Gdzie przebiega ta granica między normą a patologią? Zwłaszcza że wybitność na pewno nie jest czymś normalnym. A pisał o tym również (równie głęboko, bardzo erudycyjnie,

choć mniej poetycko) Kazimierz Dąbrowski, twórca koncepcji dezintegracji pozytywnej: żeby się doskonalić – należy porzucić świat nawyków, schematów i stereotypów. A to jest niebezpieczna podróż! Wędrowka bohatera – los człowieka: tego, który więcej czuje, inaczej rozumuje i dlatego bardziej cierpi. Na taką wyprawę życia warto zabrać z sobą przewodnika, mistrza duchowego. Takim właśnie jest ów słynny krakowski psychiatra, poskromiciel demonów.

6. HENRYK ELZENBERG, *Kłopot z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu*. Co my tu mamy? Co to w ogóle za forma? Intelaktualny dziennik złożony z aforyzmów i miniesejów – kilka gatunków literackich w diarystycznej formie; ponad pięćdziesiąt lat intensywnego życia filozoficzno-mistycznego. Wszyscy (wtajemniczeni) wiedzą, że jestem aforystą i antologistą. W jednym i drugim wcieleniu cenię małą formę literacką. Właściwie to powinienem tu zamieścić Emila Ciorana lub Stanisława Jerzego Leca. Lecz pierwszy bywa odstręczający w swoich nihilistycznych pochwałach samobójstwa i ostatecznej zagłady, a ten drugi chyba trochę na siłę postanowił swój światopogląd ścisnąć do najkrótszej formy. A więc Elzenberg, duchowy przewodnik Zbigniewa Herberta. Dość nudny w swoich profesorskich rozprawach filozoficznych, ale niesamowicie fascynujący w tym zmiennokształtnym dzienniku, w tym kłopotliwym zmaganiu się z istnieniem. Wielkie dzieło (choć stosunkowo małych rozmiarów), pełne relacji z lektur, zmagani z ideologiami, kipiące od sardonicznych (ale bardzo trzeźwych) spostrzeżeń i ezoterycznych zachwyceń. A są tam i celne myśli o historii, mistyce, lirycie, polityce, Polsce i wszechświecie. Da się to czytać na okrągło – po kolei, na wyrwyki, ponownie, odkrywczco, niewymownie, nieustannie. Tam głupota i mądrość tańczą krzesanego, oberka i walca.

7. MIKOŁAJ BIERDIAJEW, *Sens twórczości*. Kłopot z filozofami. Bo ci wielcy potrafili przynudzać (vide: I. Kant, G.W. Hegel, M. Heidegger, oto niemiecka przypadłość). Inni giganci tylko w niewielkim wymiarze pasują do mojego światopoglądu (patrz: A. Schopenhauer, F. Nietzsche) lub kochają popadać w poetyckie niezrozumiałstwo (vide: J. Tischer, M. de Unamuno, H. Bergson) albo są tak logiczni, że nie ma gdzie wcisnąć w ich linijki choćby odrobiny uczuć (spójrz: L. Wittgenstein). Dlatego wołę nieraz filozofować z psychologami, antropologami kulturowymi czy innymi eseistami, dla których właściwie nie istnieją sztywne podziały między dyscyplinami naukowymi (vide: W. James, C.G. Jung, M. Eliade, J. Campbell, J. Peterson, N.N. Taleb).

A więc – Bierdiajew. Ale dlaczego? Bo to nie tylko filozofia, to również myśl religijna, teologia szukająca inspiracji także w literaturze pięknej (przykładem być tu może *Światopogląd Dostojewskiego*). Padają w pismach rosyjskiego myśliciela głębokie refleksje z rejonów mistyki, gnozy, magii – cała ezoteryka przesiąknięta pasją pisarza i tonem proroka, wizjonera. Bierdiajew

jest orędownikiem wolności (lecz w żadnym razie samowolki), eksploratorem najmroczniejszych zakątków egzystencji. Tu polityka spleta się z historią, socjologia z psychopatologią. Całe spektrum egzystencji.

Przeczytałem wszystkie dzieła Bierdiajewa przetłumaczone na język polski. Wszystkie są wspaniałe, lecz za najbardziej odkrywcze uważam właśnie to – *Sens twórczości*. Pojawia się tu rewolucyjna i rewelacyjna myśl: Kreatywność to Droga do Odkupienia. Twórczość jest kontynuacją Dzieła Stwórcy. Zaś geniusz jest światu potrzebny tak samo jak święty. W tej kosmicznej wizji Joseph Conrad jest ludzkości niezbędny w równym stopniu, co Brat Albert albo siostra Faustyna Kowalska. To ważne właśnie teraz, gdy w komentarzach na Facebooku padają złośliwe hasła, kierowane do niezadowolonych literatów: „Zabierzcie się do pożytecznej, uczciwej roboty, zamiast użalać się nad swoim losem” (a to w kwestii np. mecenatu państwowego, samorządowego, kościelnego, prywatnego). A przecież naród nie jest jedynie kwestią polityki, ekonomii, socjologii. Naród – to kultura i duchowość. A duchowość to także wiersze i powieści.

Duchowość to również rozum i komunizm, liryzm i tragizm. I tylko wyjątkowym arcy mistrzom pióra udaje się zespolic w swojej twórczości te wszystkie wymiary bytu literackiego. Pisać mądrze i do tego dowcipnie, pięknie i rzeczowo – trudne zadanie. Zdołał mu sprostać Gilbert Keith Chesterton, brytyjski felietonista, eseista, prozaik, dramaturg oraz błyskotliwy biograf. W tym zestawieniu pominąłem go, nie mogąc się zdecydować na jedną konkretną pozycję z jego dorobku. Ale brak owej postaci w tej „wspaniałej siódemce” byłby deformacją. Stąd – ów akapit.

Ta lista moich najulubieńszych arcy dzieł nie jest przypadkowa, wymyślona *ad hoc* i spisana na kolanie. Wszystkim tym dziełom poświęciłem wiele czasu. Napisałem nawet (wraz z żoną Jolantą) powieść biograficzną o profesorze Antonim Kępińskim (*Psychiatra i demony*). Fabularyzowaną biografię Josepha Conrada piszę od lat i ostatnio próbuję tekst radykalnie skrócić. Marcel Proust ciągle przewija się w mojej autobiografii *Pamięć i fantazja*. Bierdiajew, Pessoa i Elzenberg to moi wybrańcy – poświęciłem im wybory myśli oraz dołączone do nich eseje. Tylko Eliot jest przeze mnie prawie nieopisany. Lecz towarzyszy mi wiernie – od lat wyznaczając nastrój i ton każdej mojej książki.

Bierzcie i czytajcie – oto typy moje! ❖

Antologia „Akantu”

Ukazała się *Antologia „Akantu”* za lata 2018-2022. Zawiera ona spis autorów z tego okresu wraz z ich sylwetkami oraz fotografiami, a także – co jest ważne dla literaturoznawców – spis recenzji i opracowań twórczości. Antologię taką wydajemy co 5 lat, dzięki czemu bardzo łatwo można znaleźć poszukiwany utwór. Antologię można nabyć korespondencyjnie w redakcji „Akantu”.
Cena wraz z przesyłką: 35 zł
Nr konta: 03124011831111001002291025

IRONIE

Angelika Szelańska-Mironiuk

Plastelina

Igor Frender

Stan rzeczy

Trzask.
Pajacyk złamał rękę.
Po filiżance spływa herbaciana łąka.

Zupełna cisza. Nie ma na kogo czekać.
Kot grzeje się na kaloryferze,
za oknem śnieg przykrył chodniki i ulice.

Jeszcze próbuję wyciągnąć rękę.
Niepokoi mnie martwy stan rzeczy.

Kazimierz Kyrz Jr

Pożoga w slipkach

punk Ogito słyszał o strażaku
którego podniecało wzniesienie pożarów
jego problemem była ponoć
niespełniona ochota na gorący seks

tylko współczuć

pytanie komu:
podpalaczowi czy ofiarom?

(nie)bezpiecznie

znawców tematów wszelakich całe roje
sieć ściąga i wynosi na piedestały
z waty

punk Ogito w koszmarny link klika
i od razu kolejna *terra afera* w oczy go kłuje

świat zapomni o niej jutro
a może jeszcze dziś

kto stoi ten może się przewrócić
więc czy aby nie lepiej
na siedząco oczekiwać końca

W dobro ogółu

punk Ogito spotkał Elvisa
w mlecznym barze na przedmieściach Wołomina

mistrz mikrofonu grał
na grzebieniu i nerwach innych klientów

Ogito odkupił jego instrument
za ostatnią dychę

to była świetna inwestycja

Ulepiono nas z jednego kawałka plasteliny.
Naszym tworzywem był najszeptniejszy kolor.
Potem dołożono też inne, paskudne odcienie
i rozbełtano wszystko razem.
Byliśmy więc w odcieniach sraczkowatoszarych,
takich, których dzieci nie wybiorą do zabawy
– co najwyżej przykleją pod obdrapaną ławkę.
Potem jeszcze zmieszano nas z błotem, piaskiem i kurzem.
Nikt nie chciałby tego dotknąć –
ohydny z nas zaczyn, obrzydliwa antykompozycja.
Inne kolory możemy jedynie zanieczyścić,
odebrać im uporządkowaną strukturę.
Nie ulepi się z nas domku, kotka i kwiatka.
Wyrośnie na nas grzyb i rzeźączka.
Niesiemy brud i klątwę brzydoty.
Zostaje nam razem obracać się w gnój.

Dorota Czerwińska

wena

na jedenastym piętrze licząc od parteru
w trzecim wierszu od prawej a w ósmym od lewej
nikt nie zapalił światła pomimo że ciemno
jest już od wpół do czwartej
aż do ósmej rano

nikt nie zapalił

będąc w wierszu trzecim
od prawej licząc i na jedenastym piętrze
widnieje w czarnym oknie poświata księżycy

może tam mieszka luna i właśnie przygląda
się odbiciu własnemu w nieludzkim zachwycie

ale od dwóch tygodni cholera dlatego

może warto podjechać zapukać rozważyć
wejście do domu luno w asyście policji

bo ona niczym bomba zegarowa tyka

Igor Frender

Zarażenie

Szanowni Państwo,
zaczynam od nowa posługiwać się głową.
Mój umysł nie jest piłką do żonglowania.
Przeczytałem wiele książek i wiem,
że bezrefleksyjność odurza i jest zaraźliwa. Kicha.
Już nie skręcam w żadną stronę.
Nie idę, gdziekolwiek się da, nie szukam i nie znajduję,

Tożsamość okazała się fasadą,
społeczną grą bez zasad.

Ogólnie mam w dupie małe i duże miasteczka,
Jestem anarchista.

Właśnie słyszę, że nikt z nas nie pozostał
w miejscu, że każdy się rozwinął,
a teraz zaczyna się zwijać.

Proszę tylko, nie kichaj mi tutaj.

Krzysztof T.Konecki

Lisek tygrysek

I
Słodki lisek ziewa
Pławi się w śniegu
Drapie za uchem
Udaje znudzenie i sytość
Po czym medytuje

II
A on głodny i agresywny
Skacze mi do gardła
By na rudo rozkrwawić
wyrwać
i pogryźć
To co kocham

Mój język rozdwojony

III
Po czym płodzi lisoludzi
Co dwie głowy to niejedna
Moje dzieci upragnione
Język niepotrzebny
Pazur w oczach wystarczy

Jacek Jaszczuk**List z emigracji LXXIII**

1.
Zanim skończy się zima
naprawię pustkę między słowami,
uporządkuję niewypowiedziane światło,
lśniące pod niebem zdania.
W starych kalendarzach wytłuszczę adresy
i martwe daty, do których czas rozsyłał nienapisane listy.
A potem przeniknę łagodny łoskot pęku kluczy,
ostrząc się jak kula w zamku karabinu,
kluczająca między literami wszelkiego alfabetu naszej niepamięci.

2.
Któż zasypia z ciszą antypodów
i koronkami modlitw dotyka cyprysów
jak obłoków, które z gniazd wyniosły przelot
nad czerwienią pustynnych ognisk?
W mozaikach wszystkich horyzontów,
przez które Orion płynąc przed ołtarze
w sercu mgławicy składa psalm
jaśniejący w gęstwinach firmamentu.

Piotr Szczepański**transmisja z krainy snu**

babanowiec (bananowiec)
nie daje cienia
rozwarty czterema palcami
na wszystkie możliwe strony

chciałbyś szybko zawrzeć
układ botanika
z jedzącymi owoce
lekkoduchami
bo trawia cię ich lepkie języki
i trapi przenikanie soków żołądkowych
przez zwiotczale ściany
w które wciskasz napięte
Schopen-hauerowskie
palce

skronie owinięte
wokół ściśniętych
serc palmowych
wokół cienkie bluzeczki
przetworzona woń białego paszy i pach,
pachy
jedynej królowej śniegu
z ESI-PE
nota bene São Paulo

(podróż wyczekiwana
z niecierpliwością
na wąskim twardym stołeczku
młodości
w pozornym chłodzie
na koniec
do samego dna
zielonej spirali wybrzeża)

świejące dachy
nad sekretnym przemytniczym jeziorem
owady przysiadające
na zaporze
z wysokich kości policzkowych

rozpuszczony atest
z krainy mlekiem i miodem
mruka niewyraźnym
SOS-em pikantności

Paweł Nessel**Point Sublime**

Chaos i okrucieństwo

Niebo każdego popołudnia jest
Wciąż bardziej nierzeczywiste
Wciąż bardziej niebieskie

Sam przybyłem tu do tej zatoki
Chłodne kropelki wody
Schną na moim ciele
Jest piąta trzydzieści siedem
I cisza za którą już nic nie stoi

Jesteśmy sami tak zupełnie sami znikąd

Przepych rozkosz

Jakub Fornagiel**List do Jane**

Jane
Nie wiem czy istniejesz
Czy wyśniłem cię na skraju puszczy nowojorskiej
Gdy w środku nocy zbudził mnie jetlag
A może para świdrujących brązowych oczu
Wylaniających się spośród falujących połaci namiotu
Świetliki sufitu obserwowane z górnej pryczy
Jane
Mgło poranka
Kuszająca moją poetycką duszę
Tak sterylne gesta od znaków
Proszę opadnij
Nie pozwól nadinterpretować
Wibracji strun i napięć mięśni
Jane
Jeśli wzniesiesz się
I lunie na długie tygodnie —
Przeczekam
Aż rozdział się domknie —
I zacniemy nową kartę
W łuku przymierza na bieszczadzskim niebie

Laura Alszner**Momenty krytyczne**

niekiedy odrywanie plastra
boli bardziej niż szycie
powiesz chrzaniecie
mentalna wyliczanka

to nie może skończyć się dobrze
trzeba mieć mięśnie jak Banot
żeby wejść na Globant Tower bez zabezpieczeń
utrzymać cały ciężar w palcach jednej dłoni

czasami warto się puścić
prosto w amazońską dżunglę
pozwolić ukąsić żararacę

wtedy ktoś przyłoży kojące usta
wysię jad
pogłaszcze policzek
zapewni

trwam

Grzegorz Zientecki

Nigdy
Nie wypłynąłem dalej
Niż poza moje marzenie
A tam dopiero
Zapach orchidei i siarki
Jest nieprzemijający

Dwa serca

Nie przypuszczałem nawet, że to drugie, nowe życie będzie tak dosłownie nowe... Najdosłowniej...

W pierwszej chwili, która składała się z wielu chwilałek, myślałem że to, iż znowu jestem na tym świecie, żywy i cały, wykorzystam w całości na podziękowania Bogu Najwyższemu, żonie najwspanialszej, chirurgom wszystkimogącym, anonimowemu dawcy, przyjaciółom, bliskim i dalszym, którzy byli ze mną i przy mnie. Odwiedzali mnie, zresztą z różnych powodów:

jedni by podnieść na duchu (który upadł na samo dno), inni z czystej ciekawości, by zobaczyć, czy jeszcze żyję i jak przerażająco wyglądam (jeden z tego gatunku - konkretny choć niezbyt taktowny realista - zapytał, jak gdyby nigdy nic, czy już ... napisałem testament!); jeszcze inni ze zwykłego ludzkiego odruchu, bo jaki byłem taki byłem, ale na pewno nie żadną świnią partyjną, czy wrednym typem, bo – dla tych patrzących na mnie z boku – byłem pogodną karykaturką, niemal trefnisiem żartującym ze wszystkiego i wszystkich, czasem nawet przekraczającym granice przyzwoitości i dobrego smaku.

Do mojego mrocznego wnętrza nikt nie miał wstępu, więc i tu pomiramy ten temat milczeniem, choć nie da się ukryć licznych kompleksów, tych nieodwzajemnionych miłości, odrzucenia, poniżania czy upokorzeń, przez które, być może, straciłem to pierwsze życie, ale – jak się szczęśliwie później się okazało – tylko po to, by zyskać to drugie, piękniejsze, rozświetlone księżycem w pełni i słońcem południowego błękitu...

*

Obudziłem się lekki jak aniołek z anielskiego puchu. Pewnie bym od razu wyfrunął w euforyczną przestrzeń nowego żywota, gdyby jeszcze ze starym nie wiązały mnie, najdosłowniej, rurki i żyłki różniste, przez które wpływało to nowe życie jak do kolorowego, odpustowego balonika hel, ale w przeciwieństwie do barwnego balonika nie będę pękał!

Żona, jak anioł stróż i generał w jednej osobie, była – jak zwykle – przy moim łóżku. Lżejsza o kolejne kilogramy, ale z tym bliskim determinacji w piwnych oczach, że mnie przeniesie, razem z Panem Bogiem i z chirurgami, w to nowe życie. Może gdyby wiedziała, że to drugie życie będzie najdosłowniej takie nowe, to by machnęła ręką. Odpuściła. Postawiła krzyżyk na drogę do

wieczności, zamiast poruszać niebo za pośrednictwem modlitw żarliwych, księży szlachetnych, ludzi życzliwych, którzy niejedną „zdrowaśkę”, czy Koronkę do Miłosierdzia Bożego odmówili, wdychając ciężko ze współczuciem, że oto taki jeszcze niestary, taki dobry, zmierza – coraz lżejszy, bo ważący już tylko 39 kg – w kierunku niewidzialnych drzwi, otwieranych przez świętego Piotra...

...zamiast poruszać całą ziemię, bo

jest też na szczęście osobą praktyczną, z prezydentem, starostą, dyrektorami i Bóg wie jeszcze z kim, by mnie wyrwać śmierci, która zataczała coraz ciaśniejsze kręgi dookoła mojego zboląłego i wychudzonego ciała; dookoła mojej zrezygnowanej duszyczki. Pukała do mnie dniem i nocą kościstym paluszkim, wymachiwała kosą nad moją spoconą głową... A może tylko tak mi się wydawało, bo wracałem pamięcią do dzieciństwa, gdy w czasie bożonarodzeniowym chodziły po wsi hałaśliwe grupy kołędników, składające się z aniołów, diabłów, króla, turonia, Żyda... Najwięcej rumoru czyniły diabły z diabelskimi ogonami, czarne jak smoła albo sadza, prosto z piekła rodem, wymachujące groźnie widłami, potrząsające dzwoniącymi łańcuchami i chichoczące diabelsko... Anioły jak anioły: ze złożonymi rączkami, białymi skrzydełkami, złotymi aureolkami, które wprawdzie były ładne i prawie święte, ale też i anielsko nudne.

Nad całym tym wędrującym, od chałupy do chałupy, towarzystwem górowała, obracająca się, złota gwiazda... Jednak największe wrażenie wywierała na mnie właśnie śmierć – z kośćciami namalowanymi na czarnym kombinezonie, które wyglądały tak, jakby były prawdziwe: kosteczki dłoni, żebra, kręgosłup, miednica, piszczele... No i ta śmiejąca się, nie wiedzieć dlaczego, czaszka z głębokimi i pustymi oczodołami, z wytrzeszczonymi zębiskami gotowymi przemielić każde, jeszcze żywe, stworzenie. Dopelnieniem straszego wyglądu kościstej pani była kosa – błyszcząca, ostra, służąca do ścinania głów, kiedy śmierć miała taki kaprys. Bałem się autentyczne ludowego uosobienia śmierci z kołędowego korowodu przebiegających ...

Ale nie tak bardzo, jak Małgosia z sąsiedztwa, która ze strachu schowała się w szafie z nadzieją, że ją diabły nie odnajdą i nie przekażą śmierci. Jednak nie udało jej się uniknąć spotkania z podchmielonymi już kołędnikami, bo isticie diabelskie diabły wywlekły ją, drżącą jak osika, z dębowego mebla, a kostucha już czekała i wymachiwała kosą, czego dziewczynka nie wytrzymała i straciła przytomność. A kiedy odzyskała świadomość nigdy już nie była tą roześmianą Małgosią, śpiewającą, tańczącą, szczebiocącą..., a zostało z niej rozdygotane zwierzątko, z przerażeniem w niebieskich oczach, bojące się wszystkiego i wszystkich – już do końca życia...

*

Jeszcze nie mogłem się poruszać. Jak to po operacji – omotany i zaplątany

w elastyczne polietylenowe wężyki wlewające we mnie to co trzeba; podglądany przez nieczułe ekrany monitorów i już czulsze spojrzenia żony, lekarzy i pielęgniarek, które dniem i nocą mnie nie opuszczały, sprawdzając czy wszystko w porządku, czy przeschczep nie zostaje odrzućany. Ale nowe serce, jakby nic wielkiego się nie stało, biło w mojej chuderlawej piersi zrazu

niepewnie, ale potem coraz mocniej głoścąc pochwałę życia, a nade wszystko Boga Miłosiernego i chirurgów wiele mogących.

Nie, nie odrzucił mój organizm nowego serca, może przez przekorę, może dlatego, by zrekompensować mi to, że zawsze byłem odrzućany, bo taki niewydarzony, pokraczny, pokręcony jak żydowski paragraf, egzystowałem na tym świecie z poczuciem krzywdy, na którą przecież niczym nie zasłużyłem. Ale jednak byłem taką niewydarzoną, chuderlawą kupką nieszczęścia, chodzącą pokraką z krótszą prawą nóżką, szwendającą się po tym bożym świecie nie wiadomo po co? Taki odrzućony wyrzutek... A może tak mi się tylko wydawało?

Nie, chyba jednak nie, bo już od maleńkości wszyscy uważali mnie za taką pokrakę.

– Jakiś taki nedorobiony – stwierdziła z pogardą sąsiadka Elza i odgoniła mnie od udanych, dopracowanych dzieci, które zabrała do lasu na spacer, rzucając mi jeszcze na odczepne:

– A ty kyrcku zwiewaj do domu, bo nam będziesz tyko zawadzał!

Poszedłem więc do domu, ze łzami w oczach, a roześmiane i rozbrykane towarzystwo pobiegło do gęstwiny. Znowu byłem sam, i gdyby nie pies Misiek, to było by mi jeszcze smutniej. Z żółtej gliny robiłem cegiełki, formą było pudełko po zapałkach, z których wybudowałem domek, zamieszkiwany przez szczęśliwych ludzików z mojej wyobraźni.

Kiedyś córka Elzy, Haneczka, popchnęła mnie do rowu, głową w dół do cuchnącego mułu. Ileż to dookoła było śmiechu! Tylko mnie było smutno, gdy cały utyłany i śmierdzący, z mułem na twarzy, we włosach, na rękach, pobiegłem do domu i próbowałem się wyczyścić, czekając na mamę, aż wróci z pracy.

Wszystko co złe to ja, tylko ja, ta pokraka niewydarzona. No bo któż inny mógł wydrapać ordynarnie na werandzie sąsiadki, w tynku, wielkie „zet”, czyli znak Zorro? No kto? Tylko ja! Bo właśnie taki serial pokazywali w telewizji, na który sąsiadka Elza, która w przypływie lepszego humoru, także mnie wspaniałomyślnie wpuszczała, bo mieli pierwszy telewizor we wsi. Więc oglądałem, z wypiekami na twarzy, człowieka w masce, który biednych ochraniał i skrzywdzonym pomagał. Marzyło mi się, że będę miał kiedyś takiego własnego Zorra do pomocy, na własny użytek.

Takiego Zorra już ponoć miałem. Powiedział mi o nim ksiądz na religii. Mój Zorro nazywał się Anioł Stróż. Ale coś ten mój Anioł Stróż był chyba również nieudacznikiem, no bo gdzie był, gdy Haneczka wrzucała mnie do rowu? Gdzie był, gdy posadzili mnie, że to ja właśnie (no bo kto inny?) wyskrobałem scyzorykiem to nieszczęsne „Z”? Gdzie był, gdy Haneczka zginął mały pluszowy miś? I kogo posadzili o kradzież?! Oczywiście mnie! Bo któż inny mógłby ukraść misia? Ja, tylko ja, bo taki wychudzony, pokrzywiony, tata pije... Po co ja w ogóle żyję na tym świecie, gdy ze mnie nie ma żadnego pożytku? Gdybym był ptaszkiem, to już dawno zostałbym wyrzućony z gniazda, jako najślabszy, bo nie nauczę się latać, a dziobek otwieram i żreć chcę... Może jestem tym brzydkim

kaczątkiem, z którego jednak nie będzie pięknego labędzia?

A choć w głowie nie miałem pstro i rekompensowałem braki wyglądu wrodzoną inteligencją i wrażliwością, i pobłażliwością połączoną z poczuciem humoru, z którymi patrzyłem na świat, a sprawiającymi że widziałem więcej, dalej i głębiej, ale też cierpiałem po stokroć mocniej niżli moi udani rówieśnicy, bo przecież inteligencja nie wystarczyła, by imponować dziewczynom, co to – i słusznie – chciały mieć chłopaków przystojnych, wysportowanych, a nie jakąś kreaturkę, czy lamagę. I co z tego, że bystrzejszą i wrażliwszą od innych? Inteligencji nie widać, dobroci nie słychać... To byłby straszny obciach pokazać się z takim na dyskotecę, czy domówce. Koleżanki zrywałyby boki ze śmiechu:

- To już na lepszego cię nie stać?! Aleś ty nisko upadła dziewczyno! A może forsiasty...

*

Odkąd biło mi w piersi to nowe, zdrowe serce, jedna dręcząca myśl nie dawała mi spokoju: kim był poprzedni właściciel tego narządu? I co się z nim stało? I komu dziękować? Za kogo się modlić?

Czy był to młody fan motocykli, ubrany w skórzany strój, w groźnie wyglą-

dającym kasku na głowie, z wysokimi butami? Dosiadający stalowego, narowistego rumaka wabiącego się Harley i gnający na złamanie karku w towarzystwie podobnych straceńców, którzy podobno czują się wyzoleni i zda im się, że panują nad światem, choć nie zawsze nad kierownicą... Czy był członkiem tego motorowego zakonu, który ma nawet własnego kapelana, a po kolejnej niepotrzebnej śmierci (gwałtownej i efekciarskiej) jego członkowie w zmotoryzowanym niebie mają nad głowami aureole ze szprychami – z motorowych kół?

Już za życia patrzają na świat z niebotycznej wysokości warczanej; im większa szybkość, tym spojrzenie ważniejsze i rozkosz większa, choć rozumku mniej. Widziałem takiego jednego jak walnął z ogromną prędkością w betonowy filar, poszarpanego na strzępy... Ale jego serce nie nadawało by się nawet na marny gulasz... Może ten mój dawca zabił się jednak bardziej taktownie i piękniej – zmiażdżyło mu tylko głowę, a inne organy nienaruszone, że nic tylko brać serce, wątrobę, nerki, płuca, rogówkę, bo tyłu cierpiących czeka, na zdrową śmierć, by przedłużyć własne życie...

A może w piersi bije mi serce kobiety? Mniejsze, delikatniejsze, ale za to wytrzymałe i nieawaryjne? Serce młodej kobiety, pięknej, przed którą było całe życie, aż do owego feralnego dnia? Zaś serce było

zakochane, roześmiane, roztańczone... W planach ślub i obowiązkowo trójka dzieci: dwóch chłopczyków i dziewczynka. Jeszcze tylko dokończyć studia i zrobić ten doktorat... Nie, nie dokończy studiów, nie otworzy przewodu doktorskiego, nie zrobi panieńskiego wieczoru, bo zrobiła nierozważnie o jeden krok za dużo – może przez rozmarzoną głowę w chmurach, czy zamyślenie, chwilowe zaćmienie? Na ulicy leżała jak żywa, jak śniąca kolorowy sen, choć bledsza, z rozrzuconymi rękoma, z jasnymi włosami w nieładzie, z krwistą czerwienią ust pomalowanych szminką, która miała prawie ten sam odcień, co strużka krwi sącząca się z głowy...

A może to nowe serce podarował mi samobójca, co nie był w stanie przeżyć tej szalonej, nieodwzajemnionej miłości? Bo, choć to takie niemodne i niegodne, to można się nawet w dzisiejszych czasach zakochać na śmierć! To paradoks, bo miłość jest powołana do życia, ale jak tu żyć z taką miłością? Jak??? Gdy wyfrunęło się w niebo na skrzydłach prawdziwego uczucia tylko po to, by się dowiedzieć, że wcale nie kocha, że kpi, że nie ma zamiaru, że ma kilku innych... Wtedy niebo gwałtownie ciemnieje, a miłość ma tylko jedno skrzydło, na którym się już nie leci, a spada jak kamień w dół, w przepaść. Z szeroko otwartymi pustką oczami, której nie jest w stanie już nic wypełnić... Znaleźli go w jej ogródku, pod jabłonią, z listem pożegnalnym w ręce. Chciał być blisko niej chociaż w tej jedynej chwili. Może dlatego, żeby uwierzyła, że ją kochał naprawdę, nad życie, bo już nie żyje... Ale żyje jeszcze jego serce...

Kim była ta osoba, co straciła życie, bym ja otrzymał szansę na nowe, pod postacią tego kawałka jeszcze ciepłego mięsa, które się ocknie, jak po krótkim, męczącym śnie... Jedno jest pewne: musiała być stosunkowo młoda. Jeśli facet, to do 36. lat, a jeśli kobieta, to do czterdziestki, czyli połowę życia mogli mieć przed sobą. A ile lat wytrzyma ze mną to nowe serce? Jaka mogła być ta kobieta? Zgrabna, czy gruba? Piękna, czy brzydka? Mądra, czy głupia dzierlatka? Jakie miała oczy, włosy, usta? Jak się śmiała? Jak wzruszała, śpiewała... Jak wyglądała we śnie? Była kochliwa czy oziębła? Panną czy mężatką? Miała dzieci, czy dopiero o nich marzyła? Tyle pytań bez odpowiedzi, tyle domysłów... Jakie oglądała filmy, jak się ubierała? Jaką ukończyła szkołę? Co robiła? Czemu unikała, a co lubiła? A jak z jej zdrowiem? Serce miała chyba zdrowe... Kto zadecydował o tym, aby ten najcenniejszy narząd mnie przekazać? Zrozpaczeni rodzice? Kochający mąż?

*

Nie mogę się otrząsnąć z tych myśli. Nigdy się nie wyzwolę z tych pytań pełnych niepokoju, ciekawości, wdzięczności..., ale także dziwnego poczucia winy, że ona musiała zginąć, odejść, odpłynąć, żeby przedłużyć moje istnienie na ziemi. Przypomina mi o tym nieustannie, 70 razy na minutę, miarowe uderzenia jej serca w mojej piersi, które powtarza niezmiennie i niezmiennie:

żyjesz dzięki jej śmierci, żyjesz dzięki jej śmierci...

dokończenie na str. 22

„Akant” prosi o pomoc! 1,5% podatku

Dewolucja prasy konwencjonalnej zwanej papierową sprawia, że byt „Akantu” został zagrożony. A przecież czasopismo konwencjonalne jest trwałym dokumentem literackim i dobrze o tym wiedzą twórcy publikujący w Internecie. Proszą nas, często bardzo gorąco i – jak to w życiu literackim bywa – nierzadko, natarczywie, o druk. Bo druk inspiruje i konfrontuje. A my prosimy o pomoc w formie choćby drobnych dotacji, bo inaczej nie przetrwamy. Solidarność literacka, ale też obopólny interes. I odpowiedzialność za dalszy byt polskiej literatury.

Od trzech lat prosimy o przekazanie na nasze konto 1,5% podatku. W ubiegłym roku solidarność literacka przyniosła z tej akcji sumę, która pomogła pokryć koszty wydania jednego numeru „Akantu”. Mamy nadzieję, że w tym roku pomożecie nam, Przyjaciele, wydrukować dwa całe numery, a jak wiecie – jest ich w ciągu roku trzynaście. „Akant” jest jedynym miesięcznikiem na świecie, który wychodzi trzynaście razy w roku.

Przekazujemy więc dane konta na podatek 1,5%, z którego korzysta Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych, będące wydawcą „Akantu”:

Centrum Inicjatyw Lokalnych, 42-400 Zawiercie, ul. Senatorska 14, KRS 0000 215 720

Aby przekazać 1,5% podatku należy wypełnić odpowiednią rubrykę w rocznym zeznaniu podatkowym PIT (28,36,36L, 37, 38, 39, PIT-CFC, PIT-OP)

Aby środki do nas trafiły należy wypełnić dane pola w następujący sposób:

Numer KRS: **0000 215 720**

Cel szczegółowy: **AKANT**

Wypełnienie pola „Wyrażam zgodę”: **X**

C. Przekazanie 1,5% podatku należnego na rzecz OPP¹⁾

Jeśli podasz numer wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego (numer KRS) OPP wybranej z wykazu zamieszczonego na stronie Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, to złożysz wniosek o przekazanie OPP kwoty w wysokości 1,5% podatku należnego wykazanego w PIT-40A. W poz. 10 możesz podać cel na jaki chciałbyś, aby wskazana przez Ciebie OPP przeznaczyła tę kwotę (cel szczegółowy). Jeśli zaznaczysz kwadrat w poz. 11, wyrażisz zgodę na to, żeby urząd skarbowy przekazał OPP: Twoje imię, nazwisko, adres wraz z informacją o kwocie dla OPP.

9. Numer KRS

0000 215 720

10. Cel szczegółowy

AKANT

11. Wyrażam zgodę

1. tak

Tylko prawidłowo wypełniony formularz oznacza przekazanie nam środków z 1,5%.

Dwa...

dokończenie ze str. 21

A jeśli to był młody mężczyzna? Może nieszczęśliwie zakochany, może szczęśliwie spełniający się, z pomysłami na życie. Wysportowany, lubiący górskie wyprawy... Albo zażarty kibic – fan „Podbeskidzia”, wydzierający się co dwa tygodnie na stadionie? Może był mechanikiem samochodowym, albo gryziopiórkiem, albo nawet księdzem? Czytałem, że ostatnio zabił się na motorze

młody wikary, który oprócz Pana Boga kochał też nadmierną szybkość. Nie wiem, co się stało z jego sercem. Może zostało właśnie mnie przeszczepione?

Kto o tym zdecydował? Czy ksiądz proboszcz, czy rodzina? A jak nie miał rodziny?

Mąci mi się w głowie, ale moje (nie moje?) serce z niezmaconym spokojem zasysa i tłoczy mają krew. Zasila wszystkie tkanki z mózgiem na czele, w którym „burza mózgow” nie może się uspokoić, wyciszyć, zrelaksować, bo wyobraźnia, jak niekończący się film akcji, pracuje na pełnych obrotach, realizując coraz to nowe scenariusze, by dotrzeć do prawdy, do której nie ma dostępu, by zobaczyć w zwierciadle czasu tamte dramatyczne chwile, decydujące o śmierci jednego, i życiu drugiego człowieka...

*

To dziwne. To bardzo dziwne. Wpadła mi w oko pielęgniarka. Zdarza się to ponoć bardzo często, gdy wdzięczni pacjenci podkochują się, a czasem nawet całkiem poważnie zakochują, w białych aniołach fruujących koło łóż boleści.

A skoro zakochanie, to już tylko krok do świata żywych i zdrowych...

To dziwne. To bardzo dziwne. Już nawet nie to bardzo dziwne, że wpadła mi w oko pielęgniarka, ale – to wprost nie do wiary – że ja jej także do oka wpadłem! Dostrzegliśmy się w naszych oczach chyba w tej samej chwili. To było jak błysk pioruna. Bez zbędnych słów, bo nie trzeba się informować, komunikować, zaświadczać, bo TO zrozumiało się samo przez się – było pięknie niewymownie, choć dosłownie. Nie mogłem uwierzyć w to, że ja, taka nieatrakcyjna pokraka i wybrakowany samiec w jednym, mogłem się jej spodobać. No bo czym? Błyskotliwością, której nie miałem okazji zademonstrować? Inteligencją, którą chowałem w zanadrzu na czarną godzinę? No nie mam pojęcia... A jednak... Nie przeszkadzały jej mankamenty mojego ciała, które tak bardzo kontrastowały z jej urodą...

„Ślepa jakaś, czy co?” – myślałem szczęśliwy, jak nigdy dotąd... Iluż pacjentów musiało się w niej podkochać? Iluż musiała tłumaczyć, że jest tu tylko pielęgniarką, a nie kandydatką na kochankę, czy nawet żonę. Ze mną było jednak inaczej: nic mi nie musiała i nie chciała tłumaczyć, ani ja nie musiałem jej prosić o nic. Rozumieliśmy się bez słów – spojrzeniem, mową ciała, energią przepływającą równocześnie w dwóch kierunkach. A kiedy nie miała dyżuru, to nawet na odległość, telepatycznie...

Kiedy szliśmy na pierwszy spacer po szpitalnym korytarzu, i trzymała mnie pod rękę, to czułem jak równym rytmem biją nam serca na radość, na bliskość, na miłość. Szpitalny korytarz nie był już korytarzem szpitalnym, a najpiękniejszą aleją rozkwitającą wiosną, buchającą zielenią, a my olśnieni majowym słońcem zakochani pierwszą miłością, na pierwszej randce...

Co za ironia losu... Z nowym sercem, z rozprutą klatką piersiową, jeszcze kilka dni temu na granicy życia i śmierci, a tu zjawia się miłość. Odwzajemniona! Nie dziw tedy, że mój pesymizm wyparował; lęki odfrunęły z czarnymi ptakami hen, w zaświaty; kompleksy się rozkompleksowały i przepoczwarzyły w dziwną pewność siebie i poczucie wartości: że oto ja, ten cherlawy nieudacznik i wymoczek, owa kupka nieszczęścia politowania godna, kreaturka, jakby ucharakteryzowana do marnego melodramatu, jestem kochany przez tak piękną kobietę! Piękną, gdy się tylko pojawia w drzwiach i rozświetla całą salę. Piękną, kiedy się pochyla na de mną, by zmierzyć mi temperaturę ciała (bo temperatury uczuć nie musimy sprawdzać), piękną, gdy pobiera mi krew, robi opatrunki i jest tak blisko, tak blisko... Choć równie piękna, gdy jej nie ma, bo wiem, że jest dla mnie gdzie indziej, a myślami tuż, tuż.. I jest mi to potrzebna tak samo, jak to nowe serce, które mocniej bije, zakochane na życie (co wyrwało się śmierci), głoszące światu, że miłość jest naprawdę, na przekór wszystkiemu i wszystkim...

Przez mojego szpitalnego anioła stróża, ale nie jakiegoś niebiańsko bezpłciowego, za to z kwi i kości, ze zmysłowości, ze spojrzeń zalotnych, z uśmiechów przewrotnych, z półsłówek, z całych zdań, z bliskości i z ciepła, z tęsknoty za sobą... uwierzyłem w siebie. Głowę noszę wysoko, bo świat roześmiany, roztańczony, i ptaki pięknie śpiewają w parku, i nawet ordynator z czarną brodą (i takim charakterem?), przed którym drży cały oddział kardiologiczny, zda się do mnie uśmiechać i mamrotać przyjaźnie:

- Ty to masz chłopie szczęście! Po-dwójne:

najpierw to serce, a teraz jeszcze ona...

*

Po raz pierwszy całowaliśmy się w pokoju zabiegowym, gdy zabiegana, zdyszana zawołała mnie na zmianę opatrunku... Po raz drugi na nocnym dyżurze – już znacznie dłużej i bardziej komfortowo...

Rozwijała się ta nasza szpitalna miłość tak szybko, jak kurczyły się dni mojego tam pobytu. W końcu nadszedł ten dzień, gdy zostałem wypisany do domu. W tym samym czasie ona wykreśliła mnie ze swojego serca... Ale były to najpiękniejsze dni w moim życiu, bo wreszcie uwierzyłem w siebie...

Moja Jagódka, jeśli to czytasz, to wiedz, że dalej jestem ci wdzięczny i dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś:

Za wszystko dobre...

Za wodę z ogniem...

Za warg muśnięcia...

Za tyle szczęścia... ❖

Maria Balcer

Przeźroczystość



Od nadgarstka, ruchem kolistym, po kciuku do paznokcia. Prawa ręka głaszcze lewy kciuk, lewa prawy. I znów, i znów. Cicho szeleści skóra. Chłodne wnętrze prawej dłoni gładzi zewnętrzną stronę lewej, która zaraz się rewanzuje i już obie ocierają się o siebie bezwiednie, palce się zaplatają, zginają, prostują, wnętrze jednej dłoni ociera wnętrze drugiej, strzepują z siebie niewidoczny pyłek, jakby się myły te dłonie – suche, szeleszczące, od tarcia już ciepłe i jedwabiste wygładzone.

Skórę miała cienką, nieledwie przeźroczystą, widać przez nią było niebieski rysunek żył i granatowo-fioletowe tętniczki. Latem, kiedy upał rozgrzewał ciało, niebieskie sznurki żył wyglądały nabrzmiale. Nie lubiła się rozbierać, odsłaniać swej przeźroczystości, więc nie nabierała ona ani brzoskwiniowej, ani mlecznoczekoladowej barwy. Tylko twarz nabierała różu, czerwieni i spoconej pospolitości. Nie wyróżniała się z tłumy, jakby była, wzorem własnej skóry, niewidoczna.

Od nadgarstka, ruchem kolistym, po kciuku do paznokcia. Prawa ręka głaszcze lewy kciuk, lewa prawy. Chłodne wnętrze prawej dłoni gładzi zewnętrzną stronę lewej, która zaraz się rewanzuje, wnętrze jednej dłoni ociera wnętrze drugiej, strzepują z siebie niewidoczny pyłek, suche, szeleszczące, już ciepłe i jedwabiste wygładzone.

Nie pasują te ręce do całości. Trochę rzucają się w oczy, powleczone pergaminową, gładko błyszczącą skórą. Czasem przygląda się swoim dłoniom z niedowierzaniem, bo gładkości im przybywa tak, jak przybywa zmarszczek wokół jej oczu i ust.

Z latami skóra na ciele, cienka, stawała się widoczna, pocięta na maleńkie romby, które, oglądane pod światło, lekko błyszczą. Upływający czas zaznaczył się na skórze, skóra zaznaczyła się na ciele, pomarszczyła, jak folia, która, używana, przestaje być gładka, choć nadal jest cienka i połyskliwa.

Przez całe lata zdawała się być dla innych niezauważalna. Jak skóra, przez którą widać niebieski rysunek żył i granatowo-fioletowe tętniczki. Czuła się jak tło albo jak szyba, przez którą widać innych, nawet jeśli ona sama nieco zawadza.

Aż pojawiła się rysa. A może rysunek. W każdym razie coś się zmieniło. A właściwie – wszystko. Bo może szyba, którą zdawała się być, zmatowiła? Może pękła? Albo tło wysunęło się na pierwszy plan?

Często o tym myślała, bezwiednie splatając dłonie, masując je kolistymi ruchami, zginając i prostując palce, strzepując jedną dłonią z drugiej niewidoczny pyłek. Im więcej myślała, tym dłonie jej były cieplejsze, bardziej jedwabiste gładkie. Przeźroczystość widoczna w pomarszczonej całości. ❖

Dariusz Filinger

W KRĘGU ŻYCIA I ZNISZCZENIA (RAGNAROK)

Na pograniczu snu i jawy dzieje się najwięcej
tylko jak to zapisać gdy wstać do stołu się nie chce?
Od długopisu wolę ołówek bo zachowuje większą
żywołność – nie zamarza w wysokiej temperaturze

Ci co nie czynią sobie wyrzutów że dostrzegli
pewne rzeczy zbyt późno gdy obcy zarodek tkwił
już głęboko niczym drzazga w bolącej nodze – szukają
nowego Pana – a potem płacz zdziwienie i złorzeczenie

Walka demonów z bogami na niebie w promieniach
zimnego słońca gdy lód gorący jest. Garm – pies piekielny
głośno zaszczecka. Na ten sygnał Fenrir – czarny wilk
zniszczenia o czerwonych oczach uwolni się z więzów

Czerwone i czarne to barwy szatana – uwierzył on
że może wygrać z bogami. Ogień z lewa ogień z prawa
Heimdall – bóg strażnik przejścia ze świata ludzi
do świata bogów Asgardu po raz ostatni zagra na rogu

Pod ciężarem przechodzących potworów zawali się
Bifrost – tęczyowy most przeprawy do lepszego świata
nie uda się go obronić: Odyn wraz z armią ostatnich
wojowników zginie pożarty przez Fenrira

Thor zgładzi straszliwego węża lecz sam umrze
od jego jadu. Zdradzony i wydany podstępnie na śmierć
Baldur w końcu zmartwychwstanie a mężczyzna
i kobieta przetrwają w ramionach Świętego Jesiona

WĘDROWIEC

Zanurzam się w lesie coraz bardziej
aby nie zbłądzić ciągnę za sobą nic
jakby była droga powrotna

Zaprzysiężam się w drodze
z mijanymi drzewami ale wiem
że już ich nigdy ponownie nie spotkam

Usiłuję być towarzyski
i pochylam się nad problemami
innych lecz moja droga jest samotna

DESTRUKCJA

Kałuże krwi poczerwiała na śniegu
gdy w oddali umilkły głosy odchodzących
zawsąd sunęły bezszelestnie
szare cienie – to wilki

Chernobog – szczywał plamisty syci się
jękiem konających i tkwi podstępnie na
ziemiach Słowian od zawsze jak grot strzały
w okolicach serca

Żmij pełzający w wysokiej trawie
podziwia swe dzieło rozkładu gdy wiosną
stopią się zimowe śniegi i wszystko
budzi się do życia

Podczas zaćmienia słońca
nie złożono ofiarnej misy w sprawie jego
wypędzenia a muszą zrobić
to zgodnie wszyscy...

DWA KRUKI

Jestem Huginn a ja jestem Muninn –
wiedza ma skrzydła drony z przeszłości
postańcy coraz gorszych wieści

Odyn martwi się czy powróci
gdy nastał nowy złoty wiek pychy
gdy ludzie zapragnęli być bogami

Dobro powinno wzrastać a zło
stawać się karłem – ale tak nie jest
kruki wystraszyły się tego co ujrzały

Freja spostrzegła że teraz gdy chodzi
po ziemi kwiaty już nie zakwitają
pod jej stopami. Lęka się o los Baldura

Odyn wzywa na pomoc Siedem Sióstr
z Gwiazdozbioru Plejad – pragnie
aby jego Syn narodził się na nowo

Prawdziwy wróg jest ukryty
za bezmyślnymi twarzami ludzi
kruki powróciły ściągane rojem strzał

BYTANIA

Złodziej kamieni polnych poniesie karę –
niepotrzebni są kopciuszkowie żałobnicy
pustelnicy opowiadacze o długiej pamięci
klekający z niczego swoje sanktuaria

Gdzie znajdzie on swoją drugą Bytanię
czy tam gdzie potrafią zdmuchnąć płomieni
świecy bez zastanowienia a wiatr gorący
który jest zimny łamie wychudzone ciała
jak trzciny?

Starzec z Gór przebudził się nagle i obiecuje
zemstę widzi przez ściany i skały jaskiń dawno
temu uruchamiał latające noże zwane kindzałami
które zawsze trafiały celu obecnie kindzały
stały się hipersoniczne

Główny Gracz w Szachy gra zawsze czarnymi
posiada trzy głowy a może występuje
(jak mówią niektórzy) w trzech postaciach:
ojca i syna i ducha nieczystego

WSZYSTKO ZACZNIE SIĘ OD NOWA

Nadchodzi fioletowy świt w moim beztroskim
mieście – nie jest on typowy. Sroki złowiszczce choć
tchórzliwe rozpoczęły swój drewniany klekot
daleko im do dostojnych kruków ulubieńców Odyna

Stefan Pastuszewski

Sens życia

Sens życia jest w chwili, w danej chwili. W tej oto chwili wypełnionej jakimś działaniem, chociażby myślą. A potem inna chwila, różnieniec chwil połączonych tylko wątlą nicią bicia serca oraz unoszenia się i opadaniem klatki piersiowej. Nie ma innej całości.

I właśnie w takiej chwili uniosłem się złością na sąsiada, który zablokował mi swoim samochodem wyjazd. To znaczy prawie zablokował, bo tak ustawił swoją czarną *astrę*, abym jednak przejechał, z trudem, ale przejechał. Przejechałem, ale zaraz, wciąż kpiąc złością, cofnąłem się do mieszkania, aby wyjąć z kuchennej szafy, z dołu, gdzie trzymam narzędzia, wielki szwowski przebijak pozostały po ojcu-szewcu. Nigdy dotąd go nie używałem, ale trzymałem na wszelki wypadek. Stalowy, na cienko wyostrzony szpikulec na drewnianym, czarnym od starego potu i brudu trzonku.

Raz, dwa z lewej strony wozu, po bokach, a nie na bieżnikach, aby mu żaden wulkanizator kołkiem nie zakleił. Poza tym było to łatwiej, ot, takie miękkie podbrzusze opony samochodowej. Człowiek też ma takie miękkie podbrzusze. – Niech ma!

Kilka dni później sąsiad, właściciel tego samochodu, spoglądając mi prosto w oczy powiedział:

– Ktoś mi tu, na podwórzku poprzebijał opony.

– Ta? Niemożliwe! – zawołałem i to „niemożliwe”, i to zawołanie mnie zdradziło. W każdym razie tak mi się wydaje, że zdradziło. Lepsze oczywiście byłoby milczenie i tylko trochę zdumione oczy. W szaro-zielonych oczach sąsiada pojawił się jakiś błysk, ni to satysfakcji, ni to ulgi.

Chwila, krótka chwila tego błysku, a potem milczenie, kolejna chwila milczenia.

Nie mogąc wytrzymać tego milczenia i tego błysku w jego oczach, który wbił się już w pamięć niczym kołec jeżyny leśnej, którą kilka dni temu obrabiałem włócząc się po okolicznych lasach, zacząłem pospiesznie mówić, rzuciwszy okiem na stojący z lewej strony samochód drugiego sąsiada:

– Kilka miesięcy temu uszkodzili tego *forda*. Nie wiadomo kto. Trzeba zawsze bramę zamykać na klucz, a nie tylko tak jak pan to robi, przyomykać...

Mówiłem coś jeszcze i mówiłem. Kłamca zawsze dużo mówi, aby uwiarygodnić swoje kłamstwo. Chwila ciągnęła się niczym guma do żucia. Niesmak po takiej przeżutej gumie wyciąganej lepkiimi pasemkami z zębów. Niesmak po takiej chwili.

A teraz nowa chwila. Zadumy, czy mi on przebaczy, bo na pewno swoim gadaniem potwierdziłem jego podejrzenie. Czy się przyznać, czy się nie przyznać? *Za późno!* Na łożu śmierci?

Są chwile lepsze i gorsze. Sens życia jest w chwili, nawet tej pełnej złości chwili podczas przebijania opon samochodu sąsiada. Ojcowskim szpikulcem. Ojciec...

Najważniejsze są takie chwile, które się pamięta. One jeszcze żyją, tylko inaczej. Dzięki nim człowiek żyje w pewnej ciągłości, bo tak to jakby skakał niczym pliszka z kamienia na kamień. Pamięć.

Znów go zobaczyłem. Tego faceta z przebitymi oponami. ❖

Krystian Kajewski

Siedem książek

Ale cóż! Siedem książek mojego życia, jak siedem życzeń? Jest tych książek znacznie więcej, ale jeśli miałbym wybrać siedem czy osiem, to posłużę się regułą: *Pierwsza myśl – najlepsza myśl*. I, oczywiście, ta pierwsza, ta książka nad książkami to:

Gra w klasy Julio Cortazara

Podnieśliwy diabeł – mawiano o nim. Argentyński autor, który zawojował moją europejską duszę. Rayuela to, jakby powiedział Witkacy, powieść – worek, do której Cortazar wrzucił wszystko. Absolutne opus magnum. Bezapelacyjnie książka numer jeden mojego życia.

Tajfun i inne opowiadania Josepha Conrada

*Potem, przerwa. Następne wybory nie są już tak oczywiste. Na początek Conrad. W całości. Tak jak zresztą i Cortazar w całości. Tajfun i inne opowiadania ze względu właśnie na gatunkową zborność. Uwielbiam opowiadania jako gatunek, a te conradowskie są wzorcami z Sevres dla tego gatunku. Zwłaszcza moje ukochane *Amy Foster*. Conrad jest mi bliski w swej gęstniejącej atmosferze budowania napięcia. Jego utwory są właściwie ekfrazą dla żeglugi. Słysząc i czuć w nich szkwał, tytułowy *Tajfun* to właściwie zespół onomatopeicznych oddechów. Atmosfera tonięcia w odmętach Oceanu, i ten osobliwy, rozbudowany język, niczym język węża morskiego, który ściąga nas na dno, do głębin i wyraża jednocześnie *elan vitali i horror vacui*.*

Mistrz i Małgorzata Michaiła Bułhakowa

Ach! Jaka to jest książka. Historia rękopisów, które nie płoną i miłości, która jak morderca, dopaść nas może w ślepej uliczce życia, jest jedną z tych historii, które jak historia chrześcijaństwa, dzięki odwróceniu opowieści, zyskują nieoczekiwany blask czystej poezji.

Faust Johanna Wolfganga Goethego

Za szerokimi oknami rozciąga się widok na Penejos. Faust szepcze mi na ucho: Chwilo, trwaj! O tej książce nigdy nie mogę zapomnieć. Jest przecież punktem wyjścia właściwie dla większości utworów, które tu wspominam.

Siddhartha Hermanna Hesse

Ale na szczęście wino okazało się równie stare jak kełner. Figowe drzewo równie stare jak Budda i cały budowany od dymu z komina dom rozpadł się niczym domek z kart. Tak, książka Hessego, która w przewrotny sposób przeinacza historię Gautamy, jest jedną z najważniejszych książek mojego życia. Można powiedzieć, że po jej przeczytaniu doznałem Iluminacji. Do czego mnie to światelko w tunelu doprowadzi?

Ulysess Jamesa Joyce'a

Ale ta żączyłość rozwinęła się później. Oto Książka, która przestaje być Książką. Joyce dochodzi do ściany i przebija ją. Przechodzi przez nią niczym Duch.

Zbombardowani Sarah Kane

Nie bardzo się tym przejmujemy... prawda? Ale dopada nas w pewnej chwili pewność, że to coś, ta książka właśnie ZBOMBARDUJE naszą duszę i muszę przyznać, że to właśnie pierwsza sztuka Sarah Kane, naczelniej neobrutilistki. ❖

Dorota Czerwińska**Haiku**

nocny przymrozek
za uszczelnionym oknem
ona i on

śnieżyca
za tym co najważniejsze
brodząc na pamięć

zimowy wieczór
posypały się z książki
płatki jaśminu

za oknem...
to stado białych ptaszków
czy płatki śniegu?

pusta polana
chwytam płatki śniegu
ja i mój pies

z tomiku „nieboziemia”
(Lud. Spół. Wyd. 2024)

Adam Michalak**Niedopalek**

w samochodzie nagłaśniam wiadomości z Ukrainy
poranek przykleja do lusterka
chustę mroźnego słońca
staruszka zbiera niedopałki do puchowej kurtki

sterroryzowane niebo
pęka od eksplozji
bezzałogowej szarańczy

nestorka idzie za balkonikiem
kłęby spalin kolumna
pojazdów w podskokach gradu
tarasuje przejście

pali się szpital w Mikołajowie
spłonęła szkoła w Charkowie

na czerwonym uruchamiam wycieraczki
synchronizowane wystrzeliły parasole
w lustrzanym odbiciu przejścia
zakaszła dymem ulica
srebrzysta od gradziny
bębniącej w karoserie

odwołano alarm pod gruzami
kolejna zima
w schronie termo aktywna

we wstecznym tli się
skręt roztrąbionej karawany
ujada owczarek
zaskoczony oburzeniem pana

niebieski minivan myli kierunek

Grzegorz Borowiec**Na końcu ma być**

Nad głową lata czarny messerschmitt
jak szarańcza po moją krew
lata blisko śmierć żalosna
przyszła śmierć

Jestem odgrzązam się
nożami rzucam w sufit
śmieję się teraz wygrywam
zgrzytam zębami

Jestem jutro w pracy
jutro jazda samochodem
rozmowy jedzenie spokój

Na końcu ma być
zwyczajny grób

Dorota Czerwińska**sinusoida**

żyjemy w kotle
na lekkim gazie
czasem nam wrze

извините

przechodzimy w stan
zimnej wojny

Marlena Citak**Nie u nas**

wojna
nie u nas
nie budź się
śpij dalej
śliczny świecie

Robert Stojek**List z okopów**

Wiele cię ominęło
Gdy Cię nie było
Straciłem i rękę i nogę
Ale sobie przyszyłem i mam je znowu
Szwym mam tylko niestaranne
Walczyłem na froncie
Ze Zjednoczonymi Siłami Bezradności
Hen daleko za pasem Oriona
Przegrałem
Trafiłem na średnio-długą wieczność
Do niewoli
Torturowano mnie
Patrzaniem w okno
Za którym było NIC
Uciekłem z niewoli
Używający zmyślnego fortelu
Powiedziałem że chce mi się sikać
I nie wróciłem!
To dopiero początek opowieści
Ale nie mam czasu odpowiedzieć Ci reszty
Spieszę się na Zjazd Weteranów
Korespondencyjny
Ale jeśli przez weekend nie zmienisz
zdania i nadal będziesz tutaj
Dokończę ci opowieść
Tylko czy coś to zmieni?
Że w zimie nie ma jesieni..?!

Dariusz Filinger**Zaczarowany ogórek**

Wrzuciłem ogórek kiszony do mojego stawu –
ożył i zaczął pływać strasząc ryby. Wrzuciłem
do wody zdjęcie znanego polityka: zakrztusił się
machał łapami a następnie utonął. Polityka potrafi
być niebezpieczna

Znalazłem się w areszcie wydobywczym bo nie
udzieliłem mu pierwszej pomocy. Mój obrońca
tłumaczył że sztuczne oddychanie metodą usta-usta
było niewskazane – możliwość zakażenia
wirusem wścieklizny

Gdy wydobyłem ze słoika ostatni ogórek
podzielił się ze mną sekretem że zamienia się
w raketę balistyczną i zaatakuje „Europejskie
Centrum Bajki imienia Czerwonego Kaptura”

(dodam w sekrecie, że krasnal ogrodowy poczuł się
zawiedziony bo to on liczył na to zaszczytne
upamiętnienie ale dzięki temu ocalał swe życie)

Woda po ogórkach przeistoczyła się w dwie
sekundy w amerykański burbon by świętować
światową premierę nowego musicalu pod tytułem
„Radujmy się z wojny bo pokój będzie straszny”

Hanna Groszewska

W Malinowym Dworze

Malinowy Dwór stoi na zielonym wzgórzu, pośród bujnych łąk i gęstych lasów. Wzbudza ciekawość i respekt. A w nim mieszka królowa o nieprzeciętnej urodzie i miłym usposobieniu. Ma jeszcze coś szczególnie cennego, a mianowicie Marzenia.

Jako dziecko pary królewskiej już od kołyski jest rozpieszczana i na następczynię tronu chowana. Zna swoje obowiązki, które każdy przysły monarcha znać powinien. Nie ma wyboru, choćby i nie chciała, musi robić to, na co etykieta dworska zezwala. Tańczyć i płaszać wśród sobie równych. Podejmować trudne i ważne tematy, na wagę i skalę państwową lub prowadzić rozmowy płytkie i bez większego znaczenia. Uczy się pilnie, nauczycieli ma najlepszych, również w sztuce konwersacji i dyplomacji.

Potrafi po królewsku, pysznych i dumnie spoglądających baronów i hrabiów, oraz wszelkiej maści arystokratów zabawić rozmową lub dobrze słuchać tego co mają do przekazania. Królowa jest tego w pełni świadoma, że mając te przywileje i obowiązki które dziedzić musi, nie ma zbyt dużego wyboru.

Tylko czasami, idąc na spacer, uwalnia swoje głęboko schowane pragnienia i marzenia. A najczęściej ma to miejsce, jak roześmiane dzieci widzi, bawiące się bez troski nad strumykiem. Jak mały Franio, syn stajennego za pulchniutką Różą gania, córeczką ochmistryni, żeby kradnąc jej całusa ze śmiechem i figlarnym błyskiem w oku za drzewo uciekać. Wtedy to w sercu królowy smutek i żal się pojawia. Ile by oddała za to, żeby choć przez minut parę być dziewczynką, a nie przysłą królową. Móc swobodnie po polach ganiać i motyle podziwiać. Nie zwracać uwagi na protokoły, być wolną od zakazów i nakazów. Ale to jest zaledwie szybka myśl, która jak cień się pojawia i jak cień szybko znika. I

znowu, z dumnie uniesioną głową, idzie w kierunku, który los jej wyznaczył, dając w darze władzę i bogactwo. I tylko wiatr unosi cicho wypowiedziane słowa...

Mogą mi zabrać wiele, ale moich marzeń nikt mi nie odbierze.

...Nie mogą mojego myślenia kontrolować, a to co naprawdę czuję, to wiem tylko ja.

Wiem, że miłości nie można kupić, a dobro nie lubi obłudy.

Patrząc na nią dworzanie widzą tylko to, co ona chce pokazać.

Patrzmy dobrze. A zobaczymy Marzenia pod królewską koroną.

W tym samym momencie jak królowa mija baraszkuje dzieciarnię, mała dziewczynka stanęła i z otwartą buzią oraz oczyma koloru błękitnego nieba patrzy za oddalającą się postacią.

Jej marzenia są zgoła inne...

Ach, jakże bym chciała być chociaż na chwilę taką piękną królową.

Nic nie robić, tylko pachnieć i cudne suknie nosić.

Przyszła monarchini, jak gdyby ten wzrok poczuła i powoli odwróciła głowę. Wtedy to stało się coś dziwnego.

Przez ułamek sekundy te dwie osoby stały się jednością, gdyż patrząc w swoje oczy zobaczyły pragnienia i marzenia tej drugiej, na przeciwko stojącej postaci.

Uśmiech i zrozumienie były ich pomostem.

Tak,

Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma
Marzenia są dla wszystkich

Tych bogatych i tych biednych.

Są bezcenne i nie można ich kontrolować.

Królowa poszła dalej, a mała dziewczynka się obróciła i do zabawy wróciła.

Marzenia są i będą nadal ich towarzyszem. ❖

Piotr Wiktor Grygiel

Cmokanie smoka – SMOG

Niestety, coraz częściej w naszym codziennym życiu pojawiać się będzie i już pojawia, straszak – smog. Dla wielu ciągle pojęcie iluzoryczne, jednakże zupełnie realne. Iluzoryczne, ponieważ głównie wzrokowo smog przypomina zwykłą mgłę. To, co ogranicza nasze możliwości, wręcz szkodzi zdrowotnie, to powolne, prawie niezauważalne odkładanie się, najpierw w tchawicy, oskrzelach, później w płucach, wreszcie, w całym organizmie, pyłów o różnym pochodzeniu i stopniu szkodliwości, którego, w zależności od stanu naszej kondycji, nie jesteśmy w stanie zneutralizować. Naukowo rozróżniamy dwa typy inwersji, czyli zjawiska powodującego smog, a jest to inwersja w atmosferze swobodnej i inwersje przyziemne. Do pierwszego zaliczamy inwersje: osiadania, turbulencyjne, frontowe, pasatowe, tropopauzy, z kolei, do drugiego: radiacyjne, orograficzne, adwekcyjne, śniegowe. W naszej szerokości geograficznej na powstawanie smogu, aura, oprócz inwersji pasatowej, „wykorzystuje” wszystkie pozostałe inwersje. Przy czym, największe znaczenie ma tu inwersja radiacyjna, śniegowa, adwekcyjna, osiadania, orograficzna, gdyż dotyczy to bardzo ograniczonych powierzchni, a stężenie szkodliwych gazów i pyłów jest tu stosunkowo duże. W skrócie, smog można określić jako zastój mas powietrza, w którym kłębią się szkodliwe dla organizmów żywych związki chemiczne. W moich felietonach, nierzadko polemizujących z obiegową opinią, do tego ważnego dla wszystkich tematu, często powracam, zwłaszcza, iż zdrowe powietrze to „zdrowy duch w zdrowym ciele”. Bezspornie ma to głębokie przełożenie na nasze twórcze odbicie w zakresie wrodzonych i nabytych umiejętnościach, dla dobra własnego oraz społecznego, w tym, m. in. w literaturze, a szerzej – w sztuce, w jego całym, kulturalnym, cywilizacyjnym dorobku człowieka.

Zycmy (wymagajmy) sobie czystego powietrza, mówiąc o dobrym zdrowiu na naszej wspólnej matce - Ziemi. ❖



Ośrodek Szkolenia Kierowców
AGORA-MIRAŻ

Mecenas Bydgoskiej Kultury

www.naukajazdy.bydgoszcz.pl

- ◆ Szkolenie w zakresie przewozu osób i rzeczy
- ◆ Kurs ADR - przewóz materiałów niebezpiecznych
- ◆ Pracownia psychologiczna

Biuro czynne:

poniedziałek - czwartek 8:00 - 19:00

piątek 8:00 - 16:00;

sobota i niedziela 9:00 - 13:00

ul. Gajowa 32

tel. 052 342 34 96

tel. 052 348 98 23

KATEGORIE

A, A₁, B, B₁, C, D, T,

E do B, E do C

Droloff
Przewozy krajowe i zagraniczne

Przewozy krajowe i zagraniczne

- przewozy krajowe i zagraniczne
- wyjazdy turystyczne
- zorganizowane wyjazdy narciarskie
- przewozy pielgrzymów
- obsługa zawodów sportowych
- obsługa wyjazdów służbowych
- obsługa wyjazdów rekreacyjnych

ul. Broniewskiego 38/12, 87-100 Toruń

tel. 56 686 05 05, 604 282 235

www.droloff.com.pl

Jerzy Utkin**nie zamierzam uciekać**

nie zamierzam uciekać bo przecież nie sposób
uciec przed samym sobą w pustkę dookolną
skrywanych wątpliwości dopuszczając do głosu
tego w żadnym wypadku zrobić mi nie wolno

nie zamierzam uciekać bo i niby dokąd
gdzie wszędzie jest tak samo a więc pozostaje
wędrówka gdzieś w głąb siebie gdzie nie sięga oko
po cholerę mam zwiedzać tak obce mi kraje

nie zamierzam uciekać bo i niby po co
skoro uciec przed sobą i tak już nie zdołam
tak w dzień mglisty i słotny jak ponurą nocą
zęby wciąż zaciskając o ratunek wołam

nie zamierzam uciekać bo przecież się nie da
dziurawego sumienia choćby za grosz sprzedać

nie zamierzam udawać

nie zamierzam udawać że już zapomniałem
o tym co tak bolało ta pustka po tobie
rozpalonym żelazem przypalonym ciałem
i nadzieją że spocznie z tobą w jednym grobie

nie zamierzam udawać znaleźć ja nie umiem
nawet śladu że byłaś gdzieś w zasięgu ręki
zniknęłaś bezpowrotnie w obojętnym tłumie
wydając mnie na pastwę pół wieku udręki

nie zamierzam udawać ciągle sobą jestem
pozostanę do końca bez względu na skutki
rąk ja nie załamuję teatralnym gestem
jak ci co w alkoholu topią swoje smutki

nie zamierzam udawać że mnie to nie boli
kiedy na scenie złudzeń nie gram głównej roli

nie zamierzam przeproszać

nie zamierzam przeproszać za to że wciąż kocham
choć pół wieku wnet minie odkąd po raz pierwszy
głos twój głębią gorczy sprawił żem zaszlochał
wywołując lawinę wszystkich moich wierszy

nie zamierzam przeproszać za to że wciąż żyję
choć niejedyn by przysiągł że nie zasługuję
aby żyć tak jak człowiek w pętłę wkładam szyję
pogłosek o swej śmierci już nie dementuję

nie zamierzam przeproszać nie widzę powodu
aby kajać się za coś co już jest poza mną
powolutku odchodzę pragnienia i głodu
nie odczuwam dotkliwie kiedy nocą czarną

zamierzam w pustym oknie w czas każdego nowiu
nóż ukryty w rękawie zawsze w pogotowiu

Aleksandra Brzozowska**Ukryta**

Czemu mnie wielbisz tak wzniośle, mój miły
I stawiasz spojrzeniem na cokoły słońca
Jestem nie z blasku ale zwykłej gliny
Czegoś pragnę, marzę, o coś się dąsam

Na łożu westchnień tylko myślą pieścisz
Albo pocałunek i mój dotyk kradniesz
Nie wiesz mój miły, co to spryt niewieści
Potrafiemy udawać i kłamać tak ładnie

Spróbuj, dziś mój drogi, czymś nowym zaskoczyć
Chcę być Ewą z raję, z jabłek pragnę wina
Uśmiechom ust nie wierz, patrz mi prosto w oczy

Przebij tarczę źrenic i zajrzyj w ciemności
Tam bez przebrania skryła się dziewczyna
O miłość prawdziwą hardo ciebie prosi.

Jolanta Szejka**Zbłąkana**

świat się kołysze
już ósmy dzień
moja głowa błądzi we mgle
otulona w obojętność zawsze
gdy zapomnę myśleć o tobie

niedługo luty
na przedramionach wycinam
mapę
kształtem przypomina serce

chcesz pomóc?

w oknach nie ma klamek
i widoków na przyszłość

tylko cofnij czas

Juliusz Wątroba**Kołysanka**

W latarniach okien tańczą światłocienie
Wieczór się rodzi w kołysance mroku
Zgubiłaś uśmiech – przypadło złudzenie
Ptak dnia odfrunął – pozostał niepokój

Otwieram okno – słyszę jak nietoperz
nocnej taksówki hukiem bełta ciemność
i jak się topi czerni serce złote
bym mógł być z tobą – abyś była ze mną

Nad ranem zaśniesz kołysana wrzawą
aut szczekających splątanych kolejek
Ja ci przyniosę bułki masło kawę
butelkę mleka i nową nadzieję

Szymon Florczyk**Fontanella**

Znów myślę, że mogłem wtedy walczyć bardziej.
Szedłem dziś dokądś, a tam znów godziny
w tamtych promieniach, pod fontanną, wiesz gdzie;
kluczę i tropię ślady, prawie otwierając
drzwi – wiem, nie powinienem:

w końcu przetrwało między nami coś na zawsze.
Czasem nam tylko coś zaiskrzy i... czy ty też myślisz,
że powinienem wtedy walczyć bardziej?

Za twoją przyjaźń oddam sto romansów.
Czemu więc wracam, topię dzień zbyt zwykły
w twoich promieniach pod fontanną? Widać

muszę to światło nosić pod koszulą. Zawsze
będąc dla ciebie trochę ciepły, trochę zimny,
nie dowiem się, czy mogłem wtedy walczyć bardziej,

stając w promieniach; na fontannie
spadł śnieg.

SATYRA

Robert Stojek

Patrzcie go, anioł!

Dobrze mieć złamane skrzydła
Można wtedy powiedzieć
Nie lecę, mam złamane skrzydła
Wtedy cię poklepią przyjaźnie
Po tym opuchniętym barku
I nawet pośmieją serdecznie
Z twojego skrzydlatego żartu
Poczucie humoru jest tutaj w cenie
Wiesz pan, panie odmieniec?!

Pytanie o sens

A my tutaj wszyscy czekamy
U wrót tej porzewiałej bramy

Na list który wreszcie wytłumaczy
A jego nie ma, co to znaczy?!

W prostych słowach, trudne słowa
I gdzie ten cały sens się chowa

Ale może wypadł gdzieś i leży
Pośród gwiazdnych rubieży?

Z pocztowego wielkiego wozu
Lub mlecznego ...parowozu

Krażą po świecie zatem
Różne jego falsyfikaty

Coś czuję, że w jego treści
Coś, jak poniżej, się mieści:

„Dopisać w miejscu gdzie wy kropkowane:
Dla żartu przecież! Wyprodukowane!”

Paweł Rafał Kuś

kawał barowy

Był sobie raz
Polak
Rusek i Niemiec
przyszeli Rockeffeler
i kupił
ich wszystkich.

metafizyka

Fizyk miał metę
całkiem niedrogo brał
jak się dyrekcja dowiedziała
to wywalili go ze szkoły.

* * *

Myślisz że jesteś wolny
jak ptak
kłamstwo:
ptaki nie są wolne
ptaki są szybkie
ptaki są wolne
potrafią uciekać.

Marek S. Podborski

Drobiazgi z miążgi

bestiariusz

najgorsze jest chamstwo
i bestialstwo
nie obrażając bestii

mapa drogowa

każdy musi sam odnaleźć
drogę do swojego
piekła

gryzak

szczur nie atakuje
od razu ofiary
on ją najpierw podgryza

puszysta

człowiek się stara
a w domu stara
stara nu je

analfabeta

nie czytasz
w moich myślach
jesteś niepoczytalny

piekło miłości

ona piła
i mnie rzuciła
szklanką w głowę

zimowa reklama

po pompach ciepła
Nervosol tabs

Grzegorz Zientecki

AFORYZMY

Wszystko da się odczytać, ale nie wszystko da się zapisać.

Nie tylko gwiazdy patrzą. Czasem przenikliwej patrzy ciemność.

Życie pisze scenariusze, którym najczęściej odmówilibyśmy roli.

W Polsce, Temidzie zerwała się waga, a został jej w ręce jeno łańcuch.

Rzeczywistość dominuje nad fikcją. Dlatego świat jest tak fantastyczny.

Michał Piechutowski

Crash test dummy

Nie byłem wartością
Więc nie jestem stratą

Byłem opcją nie celem
Poligonem
Salą gimnastyczną
Wersją demo
Makieta
Psychozabawą
Etapem rozwoju

Fajnie że się przydałem

Perfidia

Niby mi się nie śniłaś
Ale sen dotyczył ciebie
I to było jeszcze gorsze niż zwykle
Nie mogłem na ciebie popatrzeć
Ani zamienić kilku słów
Zupełnie jak w życiu
Jesteś coraz bardziej perfidna

Popsułem!

Przekręciłem sprężynę w negatywce
Zamilkła
Usłyszałem ciszę
Z początku odczuwałem niepokój
Ale teraz uważam
Że nie ma piękniejszej muzyki

Nie masz racji

Nie jestem cierpiętnikiem
Codziennie przerywam kolejny nerw
Żeby zobojeźnić
Sporo już zrobiłem
Niedługo dojdę do serca
I przetnę zielony kabel

Stefan Pastuszewski

Smakowite dania

Obfita twórczość **BOGDANA ŁOSIA** znalazła swój pierwszy zewnętrzny wyraz w zbiorze o przyzwoitej objętości 57 wierszy i to nie, jak na możliwości artykulacyjne tego poety, za długich. Przyzwoitość tego zbioru zasadza się również w tym, że jego źródłem są w większości przypadków autentyczne przeżycia liryczne, choć – znając predylekcje autora – można było obawiać się gmatwaniny lingwistycznej. Wprawdzie eksperymentów ze słowami, a szczególnie z ich rozdzielaniem i łączeniem oraz przerzutniami, nie brakuje, ale to nie one są clou tego wierszopisarstwa. Jeszcze raz podkreślam, że są to przeżycia liryczne, bardzo często miłosne i to obrazowo, realistycznie przedstawiane, choćby *ludzie – ryby*, których namiętność to *pyszczkami zagarnianie tlenu*, ale też *maź tryskająca ku życiu* (s. 42). *Hymn o miłości* (s. 31), choć zaczerpnął tytuł z apostołskopawłowej epistolografii, to bardzo pogańskie (*czułości żadnej / ani Boga Jedynego*), orgiastyczne wręcz (*jedrne kopuły namacalne, pomiędzy udami samoistnie*) opisanie, bardziej chyba pragnienia i chorej męskiej wyobraźni, niż spełnienia. Chyba jednak tak jest rzeczywiście, bo w wierszu *Zapisy światła* (s. 20) *aparatus do zbierania fotografii natadowany, ciało kobiety pobudza migawki, a nagość rozgrzewa spusty*.

Są jednak obok tych *natadowanych nagością ciała kobiety aparatów fotograficznych* realizujących się w *kołowrotach pościeli, kołtunach stogu, atelier ciemni* wiersze inne i na nie chcę przede wszystkim zwrócić uwagę.

Tak typowej dla polskiej poezji bieżącej obsesji przepływającego czasu, przemijaniu poświęcony jest wiersz *Ja, stary Diogenes* (s. 50). Skardze: towarzyszy egzystencjalna prawda o beznadziejności wszelkich idei i teorii:

*Chyba drwią ze mnie
przenikliwie
gdy wokół beczki ideał krąży jak bezdomny.
To filozofia, a sensualizm, biologizm*

wręcz zawarty jest w najkrótszym wierszu w całym zbiorze:

obecność

*pies wybiegany
po lesie*

*czuję
smyczką
puls*

Ten miniwiersz oraz chyba najdłuższy (liczenie wersów wiersza uważam za szkodliwe; poezja to nie arytmetyka), a dedykowany mi, czyli Stefanowi Pastuszewskiemu 56! *Sprzeczny sekret* świadczą o dojrzałości warsztatu poety. Twórca ten panuje nad słowem, pisze jak chce, a nie jak musi, powodowany emocjami. Niemniej to intuicyjne przeżycie liryczne leży u źródeł każdego wiersza, a autor otula je skomplikowaną tkanką intelektualno-lingwistyczną. Otula niespiesznie, wolno. Chciałbym mieć tyle czasu i luzu na pisanie wierszy. Ale wtedy to nie będą wiersze – błyskawice, tylko wiersze – zorze, tak zorze, poranne, ale już nie zachody słońca, bo nie czuć w tej poezji znużenia i ucieczki w sen jak u Sławomira Krzyski, skądinąd dogadanego z Bogdanem Łosiem. Nie wiem w jakich warunkach B. Łoś pisze, ale wyobrażam sobie, że po obfitym śniadaniu, porażony bieżącym czy zapamiętanym przeżyciem lirycznym, siada nad kartką papieru i znaczy ją powoli, z namysłem, czasami z nerwowym cmo-kaniem, ale też przekreślaniami słów. W każdym razie nikt, żadna inna powinność, oprócz poetyckiej oczywiście, go nie goni. Do pierwotnych emocji dochodzą wtórne przemyślenia i smakowite obrabianie słów i ich zestawianie. Pycha! To się nazywa życie poezją! ❖

Bogdan Łoś, *Doczesność narodzin*, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 70.

Bogdan Łoś

Na oścież

Cisza zwiniętych jeszcze bałwanów
kiedy nad ranem – śnieg
płatami snów

w wynajętym domu
ciała mojego jestestwa

poprzez psyche i okno
zwierciadłami przewrotnie przenoszą
wystawność puszystą
z dworu do wnętrza

a szelest i poślizg prześcieradeł
falą jakby rozwłóczy biel
iznę

bliskość snu z dziewczycami
niczym fetysz.

Za oknem biel nieskalana
w domu przyciemniona fioletem
ścian ciszy
niby śmierć, co idzie w czas wielkiego
postu

wszyscy tańczą
tylko ja w paszczy nożyc
krzyża – przeciągle zawodzę
przydeptany płasem korowodu -

zmarłychwstania wstęga
też w oknie
i w drzwiach skrzy
pieniu drży.



Prosimy pisarzy o ich książki!

Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby **podarować książki Klubom Polskiej Książki**, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie. KPK szczególnie interesują się literaturą współczesną, skupiając jej gorliwych czytelników.

- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Stowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Wacław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie, tel. (071) 3845551
- KPK-Podbrodzie, Pabrade Internationien Mokykla, 4710 Pabrades, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK – Landvarāvu, Henriko Senkevičiaus Vidussmokykla, 4200 Lentvaris, Lauko gatve 20, tel. 828218905, Litwa-Lietuva
- KPK-Wielony, Felicja Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Rezeknes rajon, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Łotwa – Latvija
- KPK – Malta, Jadwiga Okumievič, LV 4630 Malta, Rezeknes rajon, Javnatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa – Latvija
- KPK – Rzeżyca, Rezeknes Polu Vidusskola, Lubanas iela 49, LV 4600 Rezekne, tel. 003714023552, Łotwa – Latvija
- KPK, Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci i Młodzieży Słabowidzącej i Niewidomej im. Louisa Braille'a, 85-008 Bydgoszcz, ul. Krasiniego 10, tel. (052) 322 17 87
- KPK, Osiedlowy Klub „Odnowa” 85-806 Bydgoszcz-Kapusińska, ul. Planu 6-letniego 38, tel. (052) 3631867, drugi czwartek godz. 17.00
- KPK, Zespół Szkół im. Langego, 78-425 Biały Bór, ul. Brzeźnicka 10, woj. zachodniopomorskie, tel. (094) 3739019, (094) 3739757, 0696469781
- KPK, Żyrardowskie Wieczory Literackie MDK, 96-300 Żyrardów, Pl. Jana Pawła II/3, każdy poniedziałek (z wyjątkiem świąt) godz. 16.00
- KPK, Zespół Szkół Chemicznych i XIV LO, ul. Łukasiewicza 3, 85-821 Bydgoszcz, tel. (052) 3611008
- KPK-Lubostroń, Zespół Pałacowo-Parkowy, pow. Żnin, gm. 89-210 Łabiszyn, tel. (052) 52384623, 0605097743
- KPK-Szkola Podstawowa nr 38, 85-858 Bydgoszcz, ul. Węgierska 11, tel. (052) 3621060
- KPK 89-530 Śliwice, Ewa Żarska tel. (052) 3368331, 0511866335, Śliwiczki 62
- KPK Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 2 85-791 Bydgoszcz, ul. Akademicka 3
- KPK Pensjonat „Salamandra” 84-104 Jastrzębia Góra, ul. Nasza 2, woj. pomorskie
- KPK Siergiej Finow 24 7760 Mozyrz ul. Pierszamajskaja 18/46, Białoruś
- KPK Witalis Myszona 24 7841 Lelczyce ul. Ostrowskiego 31A, Białoruś
- KPK, Zespół Szkół Fryzjerskich 85-209 Bydgoszcz, ul. Nakielska 11
- KPK, Zespół Szkół Spożywczych 85-844 Bydgoszcz, ul. Toruńska 174
- KPK, Okręgowy Klub Aktywności Twórczej PZN 85-090 Bydgoszcz ul. Powstańców Wielkopolskich 33
- KPK, Gimnazjum Kolumba Bydgoszcz ul. Świętej Trójcy 9
- KPK, 88-190 Barcin ul. Dworcowa 10 Restauracja „Lutzjana”
- KPK – Birmingham Polish Millennium House Bordeszej Street, B5 5 PF Birmingham England tel. +44 121 64 33 577
- KPK Klubokawiarnia, 89-421 Sośno, ul. Młyńska 1 tel. 787525190, e-mail: jus.ryc@wp.pl Prowadzący: Justyna Rychlik

„Pieśni Petrarcki”

Od czasu kiedy Jacopo da Lentini (1210-1260) napisał pierwsze sonety minęło już prawie osiem stuleci. Ten XIII-wieczny włoski twórca należący do sycylijskiej szkoły poetyckiej stworzył nową, kunsztowną formę poezji lirycznej o rygorystycznej budowie, wyodrębniając ją spośród innych form lirycznego przekazu. Utrwalił w niej poezję trubadurów prowansalskich opartą na tradycyjnej, dworskiej tematyce miłosnej. Bohaterką tej poezji przeniesioną przez niego do sonetów jest niedostępna kobieta o nieziemskiej urodzie, stanowiąca kwintesencję wszelkich cnót i wartości, obiekt niespełnionej miłości, której nigdy nie zazna zakochany w niej platonicznie mężczyzna, jej wasal i sługa, któremu pozostaje wielbić ją z daleka i opiewać w pieśniach. Apoteoza wybranej kobiety wiąże się tu zawsze z niewysłowionym cierpieniem i rozpaczą kochanka. Przy czym konwencja tej poezji wymaga, aby on tak naprawdę nie usiłował zdobyć ukochanej, sprawdzić jej reakcji na jego miłość. Ona pozostaje na zawsze niedostępnym obiektem jego uczuć. Wyidealizowanym i nierzeczywistym. Kreacją poetycką. Trywializując mogliśmy powiedzieć, że to taki umowny, literacki masochizm erotyczny, kompleks pазia, przepiękna i pociągająca konstrukcja miłości, której na płaszczyźnie liryki, uległ z pełną premedytacją mistrz tej konwencji, najwybitniejszy twórca sonetów Francesco Petrarca (1304 – 1374). Z powodu stabilnej, odrębnej formuły kompozycyjnej i wersyfikacyjnej uważa się czasem sonet za odrębny gatunek liryki, choć jego nazwa sonetto (piosenka, mały wiersz) sugeruje jego przynależność do gatunku pieśni (canzone). Ten format został później przez Petrarę włączony w skład jego słynnych 366 „Canzoniere”, znanych powszechnie pod nazwą „Sonetów do Laury”, napisanych po włosku i pewnie dlatego zatytułowanych przez samego Petrarę jako „Fragmenty rzeczy pospolitych” (Rerum vulgarium fragmenta), w odróżnieniu od jego łacińskiej twórczości, uważanej przez poetę za ważniejszą, tej za którą odbierał laury na rzymskim Kapitolu w sensie dosłownym, której ukoronowaniem miał zostać monumentalny, niedokończony epos pt. „Africa”, tworzony na miarę „Eneidy” Wergiliusza.

Klasyczny sonet to utwór zbudowany z czterestu wersów, pisany zazwyczaj jedenastozgłoskowcem, o ustalonym porządku rymów, z wyraźną kompozycją stroficzną, podzielony na dwie tetracyny o charakterze opisowym, przedstawiającym oraz dwie tercyny o charakterze refleksyjnym, filozoficznym czy też czasami parenetycznym. Po Jacopo da Lentini przyszła kolej na innych poetów włoskich schyłku średniowiecza piszących sonety, z samym Dante Alighieri na czele, ale dopiero „Canzoniere” Francesco Petrarcki wydane w r. 1470., wspaniałe, brawurowe dzieło tego wybitnego florenckiego poety-księdza z Arezzo, wyniosły sonet na szczyty popu-

larności. Można śmiało powiedzieć, że jeśli jego poprzednikom udało się ochronić w sonetach lirykę prowansalską przed zapomnieniem, to on, zakotwiczony jeszcze w średniowieczu, wywiódł ją z zamkowych komnat tej epoki i wprowadził na salony renesansu. Znajdziemy w nich już bowiem, mimo wyraźnej proveniencji średniowiecznej, odwołanie do klasycznych, łacińskich form literackich wspartych renesansową odwagą w odniesieniu do opisu postaci ukochanej czy też refleksji religijnych. To sprawia, że okraszone wybitnym talentem dzieło Petrarcki zyskało sobie wiekopomną sławę i zdystansowało łacińskie dzieła poety, za które był w swoim czasie uznawany i nagradzany. Jego Laura stała się synonimem traktowanej wręcz hagiograficznie ukochanej kobiety, a opis udręczenia i wewnętrznej burzy uczuć, wyniszczającej psychikę zakochanego beznadziejnie mężczyzny, wzorcem miłosnego dramatu, napisanego na jego własne życzenie, zgodnie z wymogami panującej konwencji. W ten oto sposób, w nowej odsłonie, w formie sonetu ukazane zostały walory poezji miłosnej obu epok. Tak właśnie prawdziwi mistrzowie literackiej igły konserwują i ozdabiają cenne choć mocno znoszone ubrania, pobudzając je na nowo do życia.

Tą drogą poszedł poeta **STEFAN PASTUSZEWSKI** w swoich „Pieśniach Petrarcki”, stanowiących przedmiot niniejszego komentarza. Czy mu się powiodło? – z pewnością tak. Na razie kontynuujemy to wprowadzenie, konieczne dla ułatwienia interpretacji dzieła Pastuszeńskiego, które warto osadzić w kontekście historycznoliterackim, ponieważ naszym zdaniem na to zasługuje. Nazwanie „dziełem” cyklu 22 sonetów współczesnego poety w zestawieniu z 317 sonetami Petrarcki może się wydać przesadne, ale w tym przypadku przesada nie jest. Przynajmniej z kilku powodów, o których będzie nieco później. Jednym z nich jest próba wpisania się ich autora w tradycję literacką, szlachetna dążność do pozostania w rozpoznawalnej przestrzeni słowa. A Pastuszeński chce w niej pozostać także poprzez odwołanie się do niełatwej formy sonetu w jego klasycznej, włoskiej postaci.

Petrarka tworzył na przełomie epok. Był prekursorem odrodzenia. Jako humanista, odkrywca listów Cicerona, wielbiciel Wergiliusza, człowiek gruntownie wykształcony, humanista, posługujący się nienagannie klasyczną łaciną, porównywaną do łaciny Horacego, stał się zwiastunem nowych czasów. Jego „Listy do Laury” rozpięte między liryką prowansalską, „Metamorfozami” Owidiusza a „dolce stil nuovo” są spoiwem dwóch światów. Od czasu ich pojawienia się w przestrzeni kulturowej ta forma liryki miłosnej, osobistej, mistycznej (przymiotniki można mnożyć) zagościła w literaturze nowożytnej podobnie jak niegdyś liryka trubadurów, minesingerów czy skaldów w średniowiecznej Europie, a sonet stał się od tej pory jedną z najbardziej

szanowanych form poetyckiego wyrazu. Tym niemniej pewien dystans Petrarcki do własnej twórczości w j. włoskim, którą do końca pieścił, lecz się nią nie chwalił, uwielbienie niepokalanej miłości, zaczerpnięte z poprzedniej epoki świadczy o tym, że się ze średniowieczem nie rozstał. W końcu to język określa miejsce i przynależność poety.

Od czasów twórcy „Canzoniere” sonety zawojowały Europę. W wieku XVI niespełnioną miłość wielbiono w sonetach od Portugalii przez Chorwację do Holandii. Powstawały różnorodne jego style, od nacechowanego bogactwem rymów sonetu francuskiego spod znaku. Clementa Marot i Pierre Ronsarda po sonet angielski w jego szekspirowskiej wersji z dystychem w zakończeniu utworu W obrębie czterestu wersów powstawały rozmaite kombinacje, ale wzorec Petrarcki czyli sonet włoski był zawsze punktem odniesienia. W Polsce sonet pojawił się dość późno. Jego początki kojarzy się z twórczością Jana Kochanowskiego, ale to chyba przymiarka nieco na wyrost. Spośród trzech sonetów mistrza Jana jedynie wiersz „Do Paniej” odpowiada w pełni kryteriom gatunku. Kochanowski „spotyka” się natomiast z Petrarą w innym miejscu, mianowicie w „Trenach”, w ich klasycznej formule funeralnego epicedium. Tak naprawdę sonet wkroczył na polską scenę literacką wraz z początkiem baroku i twórczością Mikołaja Sępa Szarzyńskiego. Po nim przyszli inni, Naborowski, Grabowiecki.... Najbardziej znanym poetą uprawiającym tę formę poezji miłosnej w dobie baroku jest oczywiście mistrz oksymoronu, ... i dwornej elegancji Jan Andrzej Morsztyn. Wiek XVIII nie był dla sonetu łaskawy. Mówi się wprawdzie o Franciszku Karpińskim, ale to dopiero w romantyzmie sonet odrodził się na nowo. Przede wszystkim za sprawą Mickiewicza, jego nostalgicznych „Sonetów krymskich” oraz nacechowanych dworską elegancją „Sonetów odeskich”. Nie bez znaczenia są tutaj odważne w części refleksyjnej, gorzkie i cierpkie sonety Słowackiego, takie jak np. Sonet I (w niebie nawet dusza z duszą się nie połączy). Do twórczości tych dwóch polskich wieszczów narodowych odwoła się w swoich sonetach Stefan Pastuszeński, przywołując obu po nazwisku lub nawiązując (w sonecie 13 i 14) do ich powszechnie rozpoznawalnych utworów, takich jak „Ojciec zadumionych” Juliusza Słowackiego czy „Sonety odeskie” Adama Mickiewicza. Powoływanie się na tradycję literacką i odnoszenie się do niej z poszanowaniem to niewątpliwy walor poezji Pastuszeńskiego

W czasach pozytywizmu, podobnie jak w epoce oświecenia, sonet nie należał do wiodących form poetyckiego wyrazu. W ogóle w epoce pracy u podstaw dominowała epika na czele z nowelą i powieścią tendencyjną. Miało to swoje uzasadnienie w próbie przemiany polskiej kondycji społecznej i gospodarczej w opozycji do spuścizny romantyzmu. Realizacja postulatów pracy organicznej oraz ekonomicznej i mentalnej emancypacji warstw społecznie zdegradowanych wyznaczała konkretne cele do spełnienia. Wiersze Marii Konopnickiej, a zwłaszcza wybitny cykl sonetów filozoficznych Adama Asnyka „Nad głębiami” to raczej tylko odstępstwo od reguły, chociaż jego sonet XXXIII jest chyba najbardziej gorzką i wstrząsającą oceną naszego narodu w historii literatury

polskiej. Sonet rozkwitł na nowo w czasach Młodej Polski. Jan Kasprowicz, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Leopold Staff. W okresie dwudziestolecia międzywojennego ten gatunek liryki z powodzeniem uprawiali min. Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski. Okres wojny i okupacji nie był również z wiadomych powodów łaskawy dla liryki miłosnej, osobistej i refleksyjnej za wyjątkiem fenomenu K.K. Baczyńskiego, który w swojej wizjonersko-emocjonalnej, twórczości odwoływał się do form klasycznych, a jego wybitny talent pozwolił mu na margines lirycznej swobody. Pierwsze lata tzw. Polski Ludowej zdominowała twórczość propagandowa i politycznie zgodna z oczekiwaniami komunistycznej władzy, a właściwie inna nie była po prostu dopuszczana do głosu. Cezure między okresem politycznego zakazu a tzw. małą stabilizacją stanowi rok 1956. W tym czasie sonety pisali min. tacy wybitni..poeci jak Stanisław Grochowiak, Jarosław Marek Rymkiewicz, Stanisław Swen Czachorowski, Bohdan Zadura. Po wstąpieniu po r 1989 w czasy tzw. transformacji nadal pisze się sonety. Obecnie mamy sporą liczbę twórców uprawiających tę formę poezji lirycznej. Tu godne polecenia jest zamieszczone w bydgoskim „Akancie” opracowanie „Sonet nadal żywy” pióra Ewalda Staruchy, prezentujące plejadę współczesnych twórców sonetu.

Jak już powiedzieliśmy wyżej polska liryka miłosna, refleksyjna, dotykająca filozoficznych rozmyślań o przemijaniu bądź osobistych problemów, a zwłaszcza jej formy klasyczne sonet, odchodzi na plan dalszy w sytuacjach dla społeczeństwa trudnych, w czasach zagrożenia bytu narodowego, głębokich reform społecznych oraz przełomów politycznych, kiedy elity literackie angażują się w sprawy odległe od osobistych emocji. Mówiąc - inaczej format tej liryki nie jest przez nie pożądany, ponieważ nie posługuje się językiem powszechnej komunikacji. Ciekawym zjawiskiem na tym tle jest poezja spod znaku Nowej Fali, twórczość działającej w latach 70-tych ubiegłego stulecia grupy poetów zaangażowanych bezpośrednio w walkę polityczną z opresyjnym systemem PRL. Formą dominującą staje się wtedy poezja o charakterze w pewnym sensie publicystycznym, piętnującym zasady funkcjonowania systemu politycznego oraz postawy jego wyznawców. Metaforyka tej poezji bywa często podporządkowana celom doraźnym i próbom poetyckiego ujęcia bieżących zdarzeń, postaw, okoliczności w stylu wyrazistym, pozwalającym dotrzeć do jak największej liczby odbiorców... Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser czy Adam Zagajewski to tylko niektóre z wiodących nazwisk twórców tej formacji, dla której osobiste rozterki w czasach zagrożenia przestają być ważne.

Ktoś może zapytać – po co potrzebna jest ta cała wyliczanka i wyważanie otwartych drzwi przy okazji komentarza do sonetów bydgoskiego poety. Tych tych 22 utworów Stefana Pastuszewskiego napisanych w stylu Francesca Petrarcki? Między innymi po to, aby stworzyć dla nich tło, uzmysłowić w jaką lawinę spuścizny literackiej ten poeta wchodzi. Jak wielkie ryzyko zdecydował się podjąć wkraczając na rozległy i gęsto zaludniony teren tej klasycznej formy liryki, przy założeniu, że potraktował ten krok poważnie i z

pełną odpowiedzialnością. Że nie chciał się tylko pobawić Laurą i zrobić z siebie Filona. Przyjmując nawet, że autor przedstawił tutaj historię prawdziwej miłości i autentycznej burzy uczuć, to dlaczego świat miłosnego uniesienia postanowił zamknąć, używając słów Grochowiaka, w złotym lecz sztywnym gorsecie wykwintnej formy sonetu. Jeśli pragnie zapisać swą kartę w historii literatury polskiej także z powodu tej publikacji, to na pewno pamięta, że noblesse oblige i że najpierw jego podmiot liryczny zostanie rozliczony jako kochanek w odniesieniu do swego pierwowzoru z sonetów Petrarcki, ale potem on sam, Stefan Pastuszewski zostanie oceniony jako poeta. Może te rozważania są także po to, aby mieć na uwadze, że klasyczna poezja niczym ocean wchłania i porządkuje wszelkie jej formy doraźne, tendencyjne i użytkowe, choćby jak najbardziej potrzebne i uzasadnione w określonym miejscu i czasie. Podobnie jak hałaśliwe fajerwerki różnego rodzaju poetyckich ruchów awangardowych, których pod dostatkiem mieliśmy w XX-leciu międzywojennym i potem, na czele z poezją lingwistyczną. To wszystko jest ważne i często świeci szlachetnym choć krótkotrwałym blaskiem. W końcu – ktoś powie – takie właśnie rozbłyki współtworzą ten ocean literatury. Ale i tak dominować w nim będzie i pozostanie na zawsze to, co uniwersalne - klasyka gatunku.


Kto dzisiaj pisze sonety? Poeci, którzy mają odwagę po nie sięgać, dla sprawdzenia siły swego pióra w konfrontacji z klasycznymi formami liryki. Ci, którym podoba się świat przedstawiony poetyckiego przekazu, ustabilizowany poprzez zespół norm kompozycyjnych i wersyfikacyjnych, to twórcy potrafiący się w takim formacie odnaleźć i spełnić. Znużeni amorficznością współczesnej poezji. Tęskniący za wyrazistą strukturą wiersza. Sonet (także inne gatunki) stanowi swoiste antidotum na niekomunikatywność języka. W świecie pozbawionym spójnych systemów wersyfikacyjnych i reguł gatunkowych powstają konstrukcje o twarzy sfinksa, mądre bo nieczytelne, pełne naturalnie intelektualnej głębi, której niewdzięczny czytelnik nie umie i nie chce zrozumieć. Mówi się wtedy, że każdy odbiorca powinien dotrzeć do sensu utworu idąc za głosem własnej wrażliwości i sieci skojarzeń. To jak z kostką Rubika, którą każdy może ułożyć wedle własnej metody. Tylko jak ją ułożyć, skoro wszystkie kolory są szare, a krawędzie rozmyte?

Zanim przejdziemy do analizy „Pieśni Petrarcki” Stefana Pastuszewskiego, wyjaśnijmy jeszcze jedną kwestię, związaną ze zmianami w obrębie sonetu. Od czasów Petrarcki w strukturę sonetu ingerowano wielokrotnie. Powstawały jego różne style, jak wspomniany tu już styl francuski, angielski. Próbowano przeróżnych sposobów układania strof i rymów w obrębie 14 wersów. Sonetu włoskiego nie respektował już nasz Sęp-Szarzyński, angielski poeta romantyczny Percy Bysshe Shelley pisał sonety tercynami, a Jan Kasprowicz posługiwał się oktawą i sekstyną W polskiej liryce współczesnej próby przeróbek w obrębie sonetu były i są zjawiskiem częstym. Warto wspomnieć Grochowiaka, który odchodził od rygorów sylabicznej regularności czy Swena Czachorowskiego z jego eksperymentalnym zaburzeniem budowy stroficznej sonetu. W zasadzie

nienaruszalny pozostawał jedynie podział w obrębie treści - na część opisową i refleksyjną. W ramach wolności twórczej wiele można zmienić, ale wydaje się, że powinny jednak istnieć pewne granice, poza którymi wiersz przestaje być sonetem. Liczba 14 wersów to nie dowód wierności tej formie lirycznego przekazu. Dlatego dla piszącego te słowa. „Sonet zawichostski” znakomitego skądinąd poety Mirona Białoszewskiego nigdy sonetem nie będzie. Podobnie jak makrela a’la łosoś nigdy nie będzie łososiem, nawet jeśli jest podawana u Ritza.

Lawinie sonetów dał się ponieść znany poeta Stefan Pastuszewski proponując czytelnikowi zbiór 22 utworów tego gatunku, czy jak kto woli, tej klasycznej formy lirycznej. Już sam wieloznaczny tytuł tego cyklu „Pieśni Petrarcki” skłania do ostrożności. Nie są to przekłady. W takim razie jak to rozumieć? Jako pieśni należące do włoskiego poety, będące w sensie metaforycznym jego własnością, albo tak dalece z nim związane, że można by je śmiało włączyć do jego „Canzoniere”? Zgodne z sonetami Petrarcki pod względem tematu stylu, refleksji lub przesłania? Może stanowią rodzaj hołdu złożonego poecie z Arezzo przez jego wielbiciela z Bydgoszczy, posłusznego rygorom sztuki swego mistrza? A jednak tak nie jest. Wpada zatem postawić pytanie: Ile jest tak naprawdę Francesca Petrarcki w sonetach Stefana Pastuszewskiego? Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że wiele. Pastuszewski znakomicie opanował warsztat poetycki autora „Canzoniere”. Napisał swoje sonety ściśle przestrzegając stylu włoskiego, z niewielkimi tylko odchyleniami od jedenastozgłoskowca, z odpowiednim dla tego stylu rymem (i klasycznym układem stroficznym.. Przed wszystkim temat jest ten sam i poziom emocji być może zbliżony, sposób ich wyrażania zapewne podobny. No właśnie” „być może”, „zapewne”... Otóż różnic jest więcej niż się wydaje. I są to różnice zasadnicze. ❖

Stefan Pastuszewski, Pieśni Petrarcki, Natalija Horiszna, Listy Laury nienapisane, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 166.



FIRMA RODZINNA
PRODUCENT RYB I OWOCÓW MORZA
NR 1 W POLSCE
NAJLEPSZA JAKOŚĆ
PRZYSTĘPNA CENA
DOSTĘPNY WSZĘDZIE

ABRAMCZYK Sp. z o.o.
 ul. Inflancka 7, 85-776 Bydgoszcz

tel./fax +48 (52) 344 56 77
 e-mail: sekretariat@abramczyk.pl

www.abramczyk.pl

O zbiorze esejów „Odyseje” Stefana Rusina

Wchodzę do galerii w muzeum wyobraźni STEFANA RUSINA, a tu pełno portretów na ścianach wisi.

Podchodzę bliżej i widzę portret Konstandinosa Kawafisa. Dalej Bolesław Leśmian, Anna Achmatowa,

Marina Cwietajewa, Krzysztof Kamil Baczyński, Józef Baran i Urszula Benka. Wszyscy wiszą i patrzą się na mnie duchem rozkwitniętego informelu. A ja zdębiałem i wracam do początku obrazów. Zagłębiłem się w szczegóły portretu Kawafisa. Szczupła twarz w okularach, przypominająca ptaka, który dopiero co nadziobał się robaczków egipskiej ziemi.

Zabłąkany w miłości spokoju rzucił realistyczne światło na ruchliwy pędzel Stefana Rusina. Artysta ujrzał w krawacie greckiego poety wzory rozbryzganych fal rzeki Potomak. Ale któż lubi zwykłą glinę, jeśli chodzi o piękno tryskające z wiersza „Apoloniusz z Tyany”. A nastrój kolorów wychwyił Rusin w zdaniu: „i niekiedy jakieś niematerialne, zwinne, nieuchwytnie widmo leci nad tymi wzgórzami”. Kawafis był artystą słowa, a pomimo tego nie wiedział, jak wyrazić swoje wewnętrzne rozdarcie i smutek. Taki wyraz twarzy można właśnie znaleźć we wszystkich autorskich portretach Stefana Rusina, które nawiązują do tragicznego życia Odyseusza.

Wrzesień 1903

*Chociażby iluzjami pragnę się oszukiwać,
by nie odczuwać jałowości mego życia
Wielokrotnie byłem tak blisko,
lecz obezwładniony, pełen lęku.
Ust nie mogłem otworzyć,
gdy wewnątrz mnie płakało moje życie
Tyle razy byłem blisko tych oczu,
tych ust gotowych do miłości,
tego ciała, o którym śniłem i które kochałem
Tyle razy byłem tak blisko.*

Grudzień 1903

*I chociaż o miłości mojej nie mogę nic powiedzieć,
ani o twych włosach, ustach, oczach –
jednak twarz twoja, którą przechowuję w duszy,
dźwięk twego głosu, który trwa w moim mózgu,
dni września, objawiające się w mych snach,
nadają kształt i ubarwienie moim słowom,
zdaniom,
o czymkolwiek mówię, cokolwiek wypowiadam*

Bohaterowie w jego wierszach młodzi i piękni. Szli na spotkanie z miłością dopiero po nocy, o zmroku,

w okolicy nadmorskich bulwarów i nadbrzeży, a nie do hoteli, gościnnych pokoi przy restauracjach i oberżach, gdzie się uprawia uznane rodzaje miłości, pisze autor S.R.

Następny portret w złotych ramach. Na środku długi, orli nos i niebieskie, przenikliwe oczy Bolesława Leśmiana. Czuprynka na głowie rudawa i mały wąsik pod nosem. Brwi ułożone z różnych małych, kochanych kobiet, jakby uplecione z nich. Semickie rysy

twarży; jakże o nich wiele wiemy, gdy spojrzymy w historię przodków, myśli autor esejów. Niemiecko-żydowski przodkowie Leśmiana

ukazują się w jego dużych uszach i nadal słuchają kto chce rządzić tym światem? Malutki człowieczek o dużych stopach i drobnych dłoniach, utopiony w pięknych kobietach jak w trawie, pisze wiersz „Prolog”, jako obraz całkowitego oderwania się od życia.

Prolog

*Dwa zwierciadła, czujące swych głębin powietrznąność,
Jedno przeciw drugiemu ustawiam z pośpiechem
I widzę szereg odbić, zasuniętych w wieczność,
Każde dalsze zakrzepłym bliższego jest echem
Dwie świece płoną przy mnie, mrużąc złote oczy
Zapatrzone w lustrzanych otchłań wirydarzy:
Tam aleja świec liśmi złotymi się jarzy
I rzeka nurt stężyła obojętnie toczy
Widzę tunel lustrzany, wyżłobiony, zda się,
W podziemiach moich marzeń, groźny i zakłęty
Samotny, stopą ludzką nigdy nie dotknięty,
Nie znający pór roku, zamarty w bezczasie
Widzę baśń zwierciadlaną, kędy zamiast słońca,
Nad zwłokami praistnień orszak gromnic
czuwa,
Baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca...
Gdy umrę, bracia moi, ponieście mą trumnę
Przez tunel pogrążony w zgróź tajemnych krasie,
W jego oddal dziewiczą i głębie bezszumne,
Nie znające pór roku, zamarte w bezczasie
Gdy umrę, siostry moje, zagaście blask słońca,
Idźcie za mną w baśń ową, gdzie chór gromnic
czuwa,
W baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca!*

Jednak urzędnicza zaradność i zdolności notariusza Leśmiana rzucają trochę światła na zawirowaną ciemność kolorów malarza esejów.

Leśmian nadal zakochany w pięknych kobietach i w płonących myślach filozofa Henri Bergsona wpada z kobietą w krzaki malinowe i pisze wiersz:

W Malinowym chruśniaku

*Duszo było od malin, któreś, szepcząc, rwała
A szept nasz tylko wówczas zacichał w ich woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała
I stały się maliny narzędziem pieśzcoty
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całym
niebie
nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dzwioty
Śledzą nas... Okradają z ścieżek i ustroń,
Z trudem przez nas wykrytych Gniew nasz w
słońcu pała!*

*Śpieszno nam do łez szczęścia, do tchów naszych
woni,
Chcemy pieśzcoty próbować, poznawać swe ciała.*

Ciągle to trwało u Leśmiana, kosmiczne pożądanie, aż nagle pomyślałem w tym szkicu, że trzeba dać moją malinową, współczesną odpowiedź.

Maliny polskości

W malinowym chruśniaku tysiące malin się skrzyknęło

by ruszyć na wojnę z kim się da.

Różne naczynia ustawiły się jak do wystrzału i dawaj sypało się to wszystko, sypało czerwone aż slinka ciekła.

Jasne pola dudniły od słońca,

a tu góry malinowej amunicji rosna, przelatują nam przez palce różne szczyty ambicji, wymierzone jak snajperskie pociski.

Komendy padają, losy wrogów na gałęziach się kołyszają oplakane ciszą.

Wciąż wynurzają się z ciemności krzaków nowe bataliony, by czmychnawszy do butli wystrzelić nalewką spirytusową w łeb emigrantów.

Ach jakie słowa padają przy malinach, nawet Putin i Trump nie rozgryzą tych szyfrów

wojennych, bo nie znasz dnia ani godziny kiedy dopadną cię maliny.

Marian Lech Bednarek

Maliny też dopadły Stefana Rusina, zwłaszcza jako malarza. W poświęceniu czerwonych mgieł unoszą się tu i tam na wystawie jego wyobraźni. Na przykład w obrazie „Nie ma fauny i flory. Jest odrobina wyobraźni”, pastel. Wyobraźnia ta namalowała jeszcze inne znaczne portrety poezji światowej.

Spotykam kolejny portret. Tym razem w ciemnych, dramatycznych ramach ludzkiego żywota. To portret Anny Achmatowej. Jak pisze autor, poetka wzięła to nazwisko jako pseudonim po swojej prababce Tatarce Praskowii Achmatowej. Stało się to wtedy, gdy ojciec z matką (o nazwisku Gorienko) nazwali pisanie wierszy przez Annę zajęciem haniebnym. Z obrazu patrzą egzotyczne rysy twarzy, lekko wygięty nos, szare duże oczy i długie ciemne włosy. Po prostu kobieta do poderwania, tancerka. Ale właśnie taki Anna miała los: mnóstwo kochanków, mężów, ślubów. Ale i dużo zła i prześladowań ze strony Stalina i jego slugusów. Ale ludzie coraz bardziej uwielbiali jej poezję. Autor S.R. dobrze uchwycił w tym obrazie literackim olbrzymi dramat Anny, posługując się ciemnymi kolorami ludzkiej biedy, która Annę pochwyliła w szpony gruźlicy, zawałów serca, braku pieniędzy i wielką samotność, którą powiększali otaczający ją rodzice i mężczyźni zdradzający ją. Anna nie kochana przez męża, napisała poniższy wiersz:

*Lubił trzy rzeczy na świecie:
śpiew podczas nabożeństwa,
białe pawie i przetarte mapy Ameryki
Nie lubił, kiedy płaczą dzieci,
nie lubił herbaty z konfiturą z malin
i nie znosił kobiecej hysterii
...A ja byłam jego żoną.*

Ale Annę wielu mężczyzn kochało, bo była piękną kobietą, o pięknym głosie. Co

wykorzystywała jako różne tajemnice miłości, tryskającej z jej wierszy. Jej późniejsze sukcesy literackie i sława świeci u Stefana Rusina jaśnymi pastelami słów, które można podziwiać w kolorach na różnych wystawach autorskich. Widać portrety radosnych, trochę baśniowych, pięknych młodych kobiet, namalowanych suchą pastelą. Kojarzy mi się to wszystko z ogólnym osobowym pięknem Anny Achmatowej, która czaruje do dziś swoją poezją, choć jak wiemy, już dawno nie żyje.

Zwiedzanie wystawy Stefana Rusina ciągle trwa. Muszę powiedzieć, że po przeczytaniu eseju o Marinie Cwietajewej, jestem cały zdruzgotany, aż mi paleta z rąk wypadła, bo też jestem malarzem,

co bardzo wpłynęło na uformowanie się portretu tej poetki we mnie. Zaczęę, jak zwykle od ram. Tym razem ramę portretu dostrzegłem jako podwójną. Pierwsza jej część wygląda tak:

Marina Cwietajewa (fragment wiersza)

*Po powrocie z emigracji
stałam się dla nich obca
Córka w łagrze Siostra na Syberii
Mąż w więzieniu
Syn nie mógł się pogodzić
z naszą biedą
Zakazano druku moich wierszy,
przecież mogły być komuś potrzebne,
może nawet jak chleb
Przekładałam tylko drugorzędnych poetów.*

Drugą częścią ramy portretu jest ogień, rama z ognia miłości, której Marina pragnęła i która jej osobą promieniowała. Po środku portretu siedzi pogodna kobieta o ciemnych oczach, skrywających prawdę duszy, rudozłote włosy. Lekko się uśmiecha. Kochała różnych mężczyzn, a oni ją, ale kochała też niektóre kobiety.

Te dwie części ramy mieszają się ze sobą, aż ciężko postawić kropkę zakończenia tego mojego szkicu.

Stefan Rusin pisze: „Dbała o to, by jej poezja była odważna i oddawała jej czasy pełne tragizmu i politycznych zawirowań. Zajmowała się w niej tym, co wielkie: życiem, miłością, śmiercią, sztuką, wyjątkowymi twórcami. Emigrację rosyjską drażniły jej odważne eksperymenty nad wierszem”. Gdy rozkwitła już poetycko i żyła ciągłym pragnieniem miłości, zaczął ją niszczyć Stalin i jego NKWD, nawet poza granicami ZSRR. Marina Cwietajewa opisuje to w drugim fragmencie wiersza:

*Straceńcza odwaga opuszczała mnie
Dłużej nie mogłam iść pod prąd
i przyjmować pogardy
Ojczyzna to złudzenie
Oficjalnie pracowałam
jako pomywaczka
Gdy syn z mieszkańcami Jelabugi
porządkował miejsce
pod przyszłe lotnisko,
w sieni odebrałam sobie życie
Moim zwłokom nie odprawiono panichidy
Nikt nie wie, gdzie je pochowano
Ale nie zapomniano o haku,
by go pokazywać pątnikom.*

A zatem, smutno pisząc to zdanie, Marina Cwietajewa odebrała sobie życie (powiesiła się na linie), ale zostawiła po sobie piękne,

przejmujące wiersze i smutek w duszy Czytelnika. I to musieliśmy jako razem wymalować ze Stefanem Rusinem, bo on malarz-poeta i ja malarz-poeta. Zwiedzam więc dalej muzeum portretów jego wyobraźni i i mojej.

Następny portret to Krzysztof Kamil Baczyński. Ten obraz też zaskakuje ramami, bo zbudowane są one z karabinów maszynowych, które mnie prowokowały, żebym sprawdził czy mają w magazynkach jeszcze naboje. Wołałem jednak spojrzeć na postać poety namalowaną przez Stefana Rusina. Twarz raczej delikatna, ukryte mądre spojrzenie szaroniebiskich oczu i włosy ciemnoblond. Siedzi przy stole, na którym leżą ołówek, kartka, pióro i karabin maszynowy powstańca. „Ponieważ nie odnajdywał się w schematach ideologii”, jak pisze autor, ja myślę że umiejętnie łączył konspirację, bojowe akcje z pisaniem wierszy i rysowaniem. O swoim pokoleniu napisał tak:

*Nas nauczono. Nie ma miłości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykluto,
Któremu kości kijem złamano,
i drąży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąbły – krew.
Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
w grozie drążymy mroczne miłości,
własne posągi – żli troglodyci.
Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy węszących nas,
przed siecią wzdętą kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.*

[fragment utworu K.K. Baczyńskiego „Pokolenie”, 22 lipca 1943]

Baczyński to poeta apokalipsy spełnionej, legenda. To miłość i wojna, baśniowy świat przyrody i brutalna rzeczywistość, teatr snu, symbolika poetyckich obrazów, kumulacja wrażeń zmysłowych (zapach lilii, biały wąż milczenia, szum morza, miękkość obłoków). Miłość jest sacrum, sensem życia, przynosi ukojenie.

Ponieważ patronami poezji K.K. Baczyńskiego byli Juliusz Słowacki, Cyprian Kamil Norwid, Czesław Miłosz, Fózef Czechowicz, autor eseju S.R. zaczął robić dużo kleksów na płótnie kartki. Przeważały brązy, czernie, czerwienie i żółcienie. Zielenie pojawiły się wtedy, gdy Baczyński uczył się w różnych szkołach. Czerwienie i czernie wtedy, gdy poeta strzelał z karabinu i ocierał się o śmierć. Błękit pojawiał się wtedy, gdy Krzysztof przytulał kobietę i pisał wiersze o miłości. Kiedy autor eseju pisze „Właśnie w tym liceum zdarzały się przypadki zachowań ksenofobicznych i antysemickich wśród uczniów”. Bo Krzysztof wśród wrogów się znalazł, rozpetala się krwawa bójka między Polakami a Żydami. Żydem był również profesor-wykładowca. Nad klasą unosiły się szepty Zyyyt, Zyyyt, nie Żyd, tylko Zyyyt, Zyyyt. I właśnie w tej klasie rozbluzgały się wszystkie kolory malarza, a właściwie wszystkie zamieniło się w różne kleksy, najbardziej te czerwono-czarne. Artysta Stefan Rusin przemówił informalem kleksowym jak Pollock, a zarazem zdaniem-myślą. Poeta Stanisław Piętak (1909-1964) napisał:

„Sylwetkę miał jeszcze chłopięcą, a wzrost mniej niż średni, twarz szczupłą, oczy

szare, trochę zmęczone, chory był ciężko na astmę, nie ukrywał tego (...) był dowcipny, wymowny, o żywiołowym poczuciu humoru. Przy tym zadziorny był po młodzieńczości, najwięcej opowiadał o bojowych akcjach, sam co raz rwał się do nich, już wtedy zamierzał wstąpić do konspiracyjnej podchorążówki, na co patrzyłem bardzo sceptycznie”.

Kleksów dużo w tym eseju malarza, aż Baczyńskiemu zateśkniło się za dzieciństwem, więc pisze:

*Matka
Sny dziecinne pachniały wanilią.
Jak oderwać to życie od trwogi?
Te dni jak małe bożki w oliwkowym lesie –
– wyrosły z nich dorosłe wilki i ogień
opaliły sosny strzelistych uniesień. [...]
Matko,
jeszcze jednym uśmiechem sprzed lat dwudziestu
przywróć mi wzrok dla świata
dziecięcy.*

[fragment utworu K.K. Baczyńskiego „*** (Sny dziecinne pachniały...)", 26 października 1940]

Po kolejnej akcji bojowej powstania warszawskiego, Krzysztof nie wrócił już do swoich wierszy, rysunków, grafik. I do życia. Został trafiony kulą w głowę przez niemieckiego snajpera.. Na płótnie kartki eseju znowu pojawiły się czerwone kleksy krwi. Ale przed jego zakończeniem malarz-poeta prysnął też niebieskimi plamkami (i widać było że z dużym rozmachem to zrobił). Prawdopodobnie to dusza Krzysztofa Baczyńskiego odlatywała do nieba.

A teraz podchodzę do portretu Józefa Barana. Jak zwykle, zaskakujące ramy obrazu. Zbudowane są z kosy, grabi, motyki i łopaty. A więc narzędzia rolnicze, poprzez które poeta zaczynał poznawać życie na wsi. Ale pisząc kolokwialnie, Józef Baran, to nie baran, jak na niego mówili koledzy w dzieciństwie. Józef Baran to kot o ciemnych oczach, który potrzebuje ciepła i wolności. Jest średniego wzrostu, okrągła twarz, duże uszy i ciemne oczy, krótki nos podparty siwym wąsem. Włosy krótkie, ciemne, pokryte siwizną. Oparty jest plecami o stodołę, patrząc w dal, która mu przyniesie dużo niespodzianek w życiu. Poeta-malarz tego eseju wyrzucił z siebie cały potencjał kolorów związany z kolorytem desek szopy. Gdzie nie gdzie widać było pęknięcia, sęki i ociekający smugami olej jak łyż życia Józefa Barana, które dopiero zaczynał przenikać jako poeta. Pewnego dobrego dnia napisał wiersz:

Śnił mi się Artur Sandauer

*Śnił mi się Artur Sandauer
jak na niezwykłego
wyjątkowo ciepły i ożywiony
– pan sobie nie wyobraża
powiada
– co to za rozkosz
dla prawdziwego krytyka
być Nicością
uzyskać wreszcie
dystans absolutny
do wszystkiego
nawet do Rilkego i Mallarmego
Goethego i Homera
czytać te ich pozał się boże
arcydziela*

dokończenie na str. 34

O zbiorze...

dokończenie ze str. 33

bez ziemskiej taryfy ulgowej
z perspektywy Ostatecznej
– no cóż
zawsze chciał się pan zbliżyć
do tej boskiej perspektywy
– jakby pan zgadł
westchnął melancholijnie
z bardzo daleka i wysoka
– niech pan jednak nie zapomina
że do osiągnięcia tego
brakowało mi zawsze jednego
dystansu do siebie
samego
a teraz właśnie to mam
jeżeli śmierć jest mistrzynią życia
niebył jak dotąd
najdoskonalszą formą
nieomyślności
objawił mi
przez sen
swój najnowszy paradoks
nim
jak to on tryumfalnie
rozpłynął
się na powrót
w nicości

Był wtedy młodym „dobrze zapowiadającym się” poetą z prowincji. Dlatego w dalszej części eseju Stefan Rusin przeorał Józefem Baranem (jak pługiem) pola Australii, Ameryki Południowej i Północnej, gdyż poeta napatrzony od dziecka na rolnictwo i całą przyrodę posiadał idiom swojego języka – jakby już wrodzony, bo gdy spojrział na kosę, to ona podobno aż śpiewała. Wszędzie czuły na konkret i atmosferę wsi. Dlatego rodzi się wiersz:

Przed świat idące narwoływanie
zakochaj się we mnie
ja się odwzajemnię
wczepimy się w siebie
bez tchu i bezdennie
ja skryję się w tobie
ty się skryjesz we mnie
śmierć nas będzie szukać
po świecie daremnie

Pod wrażeniem myśli buddyjskiego mnicha Shunryu Suzuki (1904-1971) poeta pisze w swoim dzienniku: Są ludzie, którzy w którąkolwiek stronę się obrócą i cokolwiek powiedzą, natychmiast stwarzają wrażenie

jałowej pustyni, a zarazem potem lejkowatej pustki, która wysysa do środka, tak wszyscy od nich uciekają. I są ludzie, którzy cokolwiek powiedzą czy uczynią, powodują, że rodzi się wokół żywna słoneczna okolica, słychać śpiew ptaków, szmer źródła i czuć pogodną aurę; dlatego chce się z nimi jak najdłużej obcować, rozmawiać, bo człowiek czuje się w ich obecności bogatszy i ciekawszy. I tu Stefan Rusin pochłonięty tropem buddyjskiego Zenu, maluje aurę sielskości pejzażu, wszystko suchą pastelą, by uspokoiwszy Czytelnika, podsumować biedę Barana w cywilizacji Zachodu. Ukazuje to poniższy wiersz:

Wspomnienie pierwszego wyjazdu na Zachód
tyle zachodów
i wreszcie
Zachód!
sezamy
światła i towarów
otwórzcie się!
Paryż 1978
słyszę przez okno
motelu Sous une Tulipe
miarowy stukot
obcasów
to kroczy ku mnie
wieczny emigrant Stanisław Mrozek
dostojnie jak bocian
z Borzęckich łąk
(gdyż jako satyryk
jest szczególnie uwrażliwiony
na własną powagę)
będzie uczył ziomka jeździć metrem
właśnie oderwał się od pisania Emigrantów
zagląda do otwartej szafy
w mojej mansardzie
z sublokatorami molami
i widzi puszki konserw
jest bardzo kontent
tak, tak! – potwierdza autorytatywnie
wszyscy Polacy
wyjeżdżają do Paryża z konserwami
zgadza mu się
jest jak w jego sztuce...

W końcu Stefan Rusin zniesmaczony zły mi prognozami Ukrainy z Rosją, przechodzi do tematu wojny. Wystrzały wszystkich jego kolorów na palecie zamieniają się w strach ludu Ukrainy przed bombami i przybywają wiatrem pod pióro Józefa Barana, który pisze wiersz:

UKRAINO UKRAINO

Ukraino Ukraino
czarnoziemna kraino

szkielety domów poburzonych
miliony
bezdomnych
wypędzonych
ciągną drogami ulicami
kobiety z dziećmi z psami
z tobołkami
ich żywe miasta obrócone
w kamień na kamieniu
w perzynie
Ukraino Ukraino
cierpienia kraino
Chrystus na krzyżu umiera
ty we mnie Ukraino śpiewasz
pieśń o dzielności
sen o potędze
czy zawsze musi się za to płacić
krwią ofiarną
(...)
Ukraino Ukraino
otwarta brocząca krwią rano
całaś nią już zalana
gdy wypuszczasz z siebie skrzydła
stale obcinane
mieczem najeżdźcy...

I pod koniec wiersza schodzimy do naszej codzienności: Ukraina, krew, Chrystus, cierpienie, ból emigracji przesywający cały nasz świat (a szczególnie Europę). W tej sytuacji niejeden człowiek, niejeden poeta chciałby zostać tylko kotem, któremu wystarczy trochę ciepła i miłości. A przede wszystkim artystycznej wolności, która aż pachnie w jego wierszach.

Nie wiem, jak to mitologicznie wytłumaczyć, ale po przeczytaniu eseju Stefania Rusina o Urszuli Benka, przychodzi mi jedynie do głowy pragnienie, żebym ten szkic o poetce napisać jako ptak. Nie wiem czy dam radę? Określić ramę i samą poetkę. Ale stoję już przed obrazem. Ramy jakby nie było, wokół obrazu dużo mandarynek i pomarańczy (widać że Rusin tu narozrabiał). Patrzy na mnie łagodna, w dojrzałym wieku kobieta o niebieskich oczach i bujnych włosach. Ale sprawa się bardzo skomplikowała, gdyż ja też kiedyś namalowałem dwa portrety Urszuli. Jeden był prawie realistyczny, który już kilka lat wisi na ścianie w jej domu. Drugi portret w tym roku namalowałem (2025). To portret jakby surrealistyczno-dadaistyczny. I w formie i w kolorze. Poetka tańczy nad sobą smukłymi, drobnymi rękami. Na głowie siedzi jej bardzo kolorowy ptak. Otoczona jest chmurą niebieskich i czerwonych gwiazd. Nad Urszulą świeci duża niebieska gwiazda. A pod Urszulą zaś czerwona, większa od niebieskiej. Siłą rzeczy nałożyły się na siebie dwa portrety. Ale jak to u Urszuli, ona to lubi, bo codziennie w mitach baraszkuje, że tych portretów Urszuli jest na świecie o wiele więcej. Jako królowa mitów, zakochana w Leśmianie, żartuje sobie wierszem:

BALLADA O ZAKOCHANYM WISIELCU

no to cóż z tego, że cię kocham – wisząc?
i że nie piesszczę
tylko się wstrząsam –
spróbuj ty także obok mnie zawisnąć
ty najpierw w górę wzniośszy włosy
potem ciałem do włosów nadążyc:
spróbuj od wewnątrz
tak spać się
potem przewiń się przez śmierć i przez miłość:

SKLEP TANECZNY BYDGOSZCZ

pon - pt: 12:00 - 18:00
sobota: 12:00 - 15:00
niedziela: 12:00 - 14:00

e-mail: xsusanx@wp.pl

telefon: 504 550 547

ul. Śniadeckich 47, Bydgoszcz

Ponad 10 lat z Wami!

z miłości upleć dla szyi stryk
ze śmierci – dla bioder grzech
potem przewiń się przez śmiech
a to już wiatr
tak ciałem kobysze
a i duszą
tuż obok na strychu
wtedy diabli nam otchłanią poruszają
jak chorągwią
jak złością
a Bóg wierny i sprawiedliwy
na wywalone nasze języki
grosz poloży
z litością

Po czym Stefan Rusin po malarsku odkrywa, że nastroje grozy, milczenie, emocjonalne rozdarcie, stąpienie się w nicości Urszula wywiodła ze swoich majaków sennych, a nie z rzeczywistości. Odczuwając ostatnie godziny życia swojego męża malarza, pisze wiersz:

Ostatnie spotkanie

za każdym razem gdy chwytasz mnie w ramiona
wiem
że to spotkanie jest ostatnim w życiu i tylko powta-
rza się
przez kolejne noce
w ich czarnych wielogodzinnych lustrach
gdzie czeka na nas ten chłopczyk
z płonącym na piersi kwiatem
a my nie śmiemy podejść gdy dwoje naszych serc
to tylko wyraz oczu tego chłopca

(*à Paris, place Monge, le 13 janvier 84*)

Stefan Rusin dopowiada: „Stanisław Barańczak w zaproszeniu Benki na Uniwersytet Harvarda zwrócił uwagę na pojawiający się nurt mistyczny w poezji Urszuli Benki”. Dużo wierszy u Benki powstaje ze zwidów nocnych, zjaw, jakby poetka szukała przyczyny istnienia, zamieniając to w poezję. Na przykład TY

Cokolwiek z nad wód powstaje. Dopiero dziś
narodził się, pełen zranień.

+ + +
Świętość skażona jest nicością, na drogach są ślady
bestii.
Człowiek, gdy idzie jedną z tych dróg, myśli o
zbawieniach,
o odrzuconej łasce, o pokucie.

Świat Urszuli Benki to jeden wielki informel odczytany przez Stefana Rusina. W tych wszystkich wierszach leją się setki litrów różnych kolorów, charakterystyczne smugi rzeki. Wszystkie tematy są płynącą farbą. Ale poetka przywykła do takiego świata u boku swego męża malarza Urbanowicza, kiedy jeszcze żył. „Obrazy w wierszach są gęste od znaczeń”, potwierdza to autor eseju. A poetka w opowiadaniu „Triamat”, o stosunkach damsko-męskich pisze: „Jedynym wyjściem-czułam coraz mocniej – jest w sposób naturalny skończyć romans”. Ulubionymi tematami rządzenia

Ludźmi i historią, wszechświatem kultury i piękna, jest dla poetki Jezus Chrystus, Orfeusz, Eurydyka. A zaskakująca scena pojawia się wtedy, gdy Orfeusz zjada Eurydykę. Ale i Orfeusza w końcu dopadają bestie (menady) i rozszarpują go na strzępy, które potem zbiera

Chrystus i czyni tak, że robaki, zwierzęta, ptaki dalej słuchają śpiewu Orfeusza.

Ale jak znam Urszulę Benka, ona na to z lekkością odpowie: „Księżyc się pokłócił z jajkiem”. I to jest cała odpowiedź, dlaczego Chrystus swoim spokojnym milczeniem zwycięża Heroda, który Jezusa chce namówić do dokonania jakiegoś cudu. Ale Jezus jest nieugięty i swym milczeniem zachęca Urszulę, by dalej kontynuowała swoją opowieść o księżycu i jajku:

Księżyc się pokłócił z jajkiem

Duszę ci moją dam jak wianek
Będziesz w wianku
Niebieski kochanku
Niech Trójca się z nas śmieje

I następna rozróżba poetycka Urszuli:

Oj, kwoko moja biedna
Wysiadujesz jaja piekła
Twoje własne złote rozbite
Płyną przez ulicę
Może tymi piekielnymi zabawmy się i my
I niech teraz piekło tyka ty
I niech kuku żałośnie kuku kuku gdy kot-Jezus się skrada
Dopaść ptaka

A potem padają święte słowa, napisane jakby samym światłem przez Stefana Rusina: „Jeśli dobrze rozumiem Benkę, człowiekowi dane jest doświadczenie pełni, a więc tego, co współtworzy jego duszę. Swoją drogę powinien przebyć od społecznego dna aż do tronu. Musi pozbyć się lęku, bo ma tylko siebie, jako klucz do tego skarbcza. Choć napotyka przeszkody różnej postaci, otwiera się przed nim możliwość zachowania pełni tożsamości i zdobycia skarbu. Każda rana, jaką doznaje, jest święta. Rana inicjująca „daje mu nowy rodzaj widzenia”. Nagromadziło się tyle dobrych kolorów i dźwięków na palecie malarza-poety, że aż mu spadł pędzel ze stołu i zrobił kleksa w formie wiersza, który jest pochwałą wielkiej intuicji, jak pisze Urszula:

Wieprze stały wokół głowy jak wieniec
Wpatrzono w oczy i usta
Nie myliła ich intuicja
Język Orfeusza był słodki melodyjny
Jego oczy były smaczne lekko słone
Po rozgryzieniu czaszki świeży mózg
Zwierzęta zlizywały z tą godnością
Jaką daje usłuchanie Boga
Boga piękna Boga wiecznej sztuki

Uniesiony w glorii pochwał i zachwytów różnych znanych polskich i zagranicznych krytyków, którzy o poezji Benki aż śpiewają, ja nie wiem jak tu podać Urszuli moją prawdziwą rękę. Bo jak szkicuję te eseje Stefana Rusina malarza-poety, to mi pismo kruszeje. Ot..., zdobywanie wielkiej twierdzy, która mi szepnęła grubymi murami: „Już nie będziesz żył nigdy w nędzy, drogi Marianie. Postaw tylko kropkę z uśmiechem, a znajdziemy się w cudownym puentowym lesie”. Ale muszę powiedzieć, że dla mnie, jako też malarza-poety, to był wielki trudny zakręt, to pisanie, z którego, mam nadzieję, wyszedłem cało, nie poobijany jak po wypadku, by dalej obserwować ciekawy rozwój duchowy świata poetyc-

kiego mojej przyjaciółki Urszuli Benki, i jej świata codzienności, w którym na pierwszym miejscu żyją dom z ojcem-staruszkiem i jej ulubiony ogród.

Książka „Odyseje” wydana za własne pieniądze. Autor nie korzystał z żadnego wydawnictwa. ♦

Nowe tytuły

Grzegorz Jacek Pelica, *Aleksander Wałigórski i leśne cienie 1863*, Łęczna 2025, Wydawnictwo Autorskie, ss. 170.

Red. Martyna Lipska, *Czas, przemijanie, trwanie...* Almanach, Bydgoszcz 2024, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 84.

Natalia Cholka, *Natalka bawi się w poetkę*, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 78.

Naznaczeni przez Goplany. Almanach, red. Maria Żywicka-Luckner, Kruszwica 2025, Centrum Kultury i Sportu „Ziemowit”, ss. 102

Rafał Berger, *O Tatarach słów kilka*, Warszawa 2026, Stowarzyszenie Jedności Muzułmańskiej, ss. 162.

Maciej Konopacki, *Tatarzy polscy*, Warszawa 2025, Stowarzyszenie Jedności Muzułmańskiej, ss. 142.

Magdalena Jankowska, *Ledum*, Lublin 2025, Wydawnictwo Ex-Libris, ss. 48.

Oliver Joseph Lodge, *Raymond*, z angielskiego przełożył Marcin Stachelski, Warszawa 2025, Oficyna Wydawnicza „Rivail”, ss. 620.

Stefan Pastuszewski, *Pieśni Petranki*, Natalia Horisznna, *Listy Laury nienapisane*, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 166.

Red. Wojciech Czapplewski, *Na brzegach milczenia*. Almanach, Stowarzyszenie Kołobrzeskich Poetów, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 146.

Harry Duda, *Księga przyszłości, pouczeń i przypowieści salomonowych*, Opole 2025, Wydawnictwo „Cywilizacja Miłości”, ss. 120.

Stefan Rusin, *Odyseje*, Konin 2025, Wydawnictwo „Glicynia”, ss. 267.

Stefan Rusin, *Żar i pokusy*, Konin 2025, Wydawnictwo „Glicynia”, ss. 167.

Stefan Pastuszewski, *Przypadki księdza Henryka*, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 108.

Małgorzata Karolina Piekarska, *Drzewo Maurycyego*, Łomianki 2026, Wydawnictwo LIW, ss. 334.

Jerzy Grundkowski, *Furka w ogrodzie czasu*, Bydgoszcz 2025, Wydawnictwo „Bibliotekarium”, ss. 86.

Laura Alszer ● Maria Balcer ● Jolanta Baziak ● Sławomir Bączkowski ● Marian Lech Bednarek
 Grzegorz Borowiec ● Aleksandra Brzozowska ● Norbert Budzyński ● Marlena Citak
 Dorota Czerwińska ● Urszula Stępień Daszkiewicz ● Lucyna Dobaczewska
 Katarzyna Dominik ● Dariusz Filinger ● Szymon Florczyk ● Igor Frender ● Jakub Fornagiel
 Natalia Grudzień ● Hanna Groszewska ● Piotr Wiktor Grygiel ● Jacek Jaszczyk
 Krystian Kajewski ● Justyna Kłosińska ● Krzysztof T.Konecki ● Mieczysław Kozłowski
 Paweł Rafał Kuś ● Kazimierz Kyrz Jr ● Józefa Ślusarczyk-Latos ● Agnieszka Lubos
 Bogdan Łoś ● Dariusz Malach ● Wiesław Marcysiak ● Adam Michalak
 Angelika Szelałowska-Mironiuk ● Paweł Nessel ● Marian Pajdak ● Bronisław Pastuszewski
 Stefan Pastuszewski ● Michał Piechutowski ● Barbara Dombrowska-Pietrzykowska
 Marek S.Podborski ● Alina Rzepecka ● Roman Sidorkiewicz ● Robert Stojek
 Dorota Szawdzianiec ● Piotr Szczepański ● Jolanta Sztejka ● Wojciech Trzciniński ● Jerzy Utkin
 Mateusz Wabik ● Juliusz Wątroba ● Wojciech Wiercioch ● Tadeusz Zawadowski
 Henryka Ziaja ● Grzegorz Zientecki

Współpraca z Autorami i Czytelnikami „Akantu”

Przekazując materiały do redakcji „Akantu”:

– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.

– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.

– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię, a w notach biograficznych rok i miejsce urodzenia).

– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.

– autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Wszystkich Czytelników, Autorów oraz Przyjaciół „Akantu” zapraszamy do wsparcia finansowego naszego czasopisma.

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać oraz drukować Wasze teksty. Przyjaźń i solidarność ludzi kultury pozwoli przetrwać kulturze w tym skomercjalizowanym świecie.

Nr konta bankowego wydawcy, czyli Towarzystwa Inicjatyw Kulturalnych: 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury*



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelna
 Stefan Pastuszewski – wydawca, sekretarz redakcji
 Roman Sidorkiewicz – redaktor
 Marek S. Podborski – redaktor działu poezji
 Juliusz Rafeld – kierownik działu imprez
 Malwina Witucka-Krygier – redaktor techniczny
 Wojciech Hetman – redaktor wydania internetowego
 Sławomir Krzyska – redaktor
 Aleksandra Lewek – redaktor

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych

Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1
 85-010 Bydgoszcz, tel./fax 052/321 33 71
 ✉ e-mail: akant24@wp.pl
 www.akant.org

Konto:
 Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
 Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025
 Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77
 85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

Fundatorzy Akantu

Marek Bocian	Magdalena Kalinowska	Magdalena Pełczyńska
Andrzej Bogucki	Wojciech Karpiński	Magdalena Podobińska
Adam Decowski	Paweł Kuszczynski	Danuta Anna Rychlicka
Zygmunt Dekiert	Maria Kołodziej	Roman Rzucidło
Piotr Dmochowski	Krzysztof Konecki	Piotr Szczepański
Leszek Droszcz	Bartosz Konopnicki	Andrzej Sepioł
Jakub Stanisław Domoradzki	Tomasz Kościakiewicz	Anna Skrzypek
Mateusz Dworek	Bogdan Kozłowski	Janina Sokołowska
Hanna Dyks	Piotr Łączyński	Jerzy Stasiewicz
Łucja Anna Fice	Piotr Aleksander Łączyński	Lech Jerzy Stefaniak
Szymon Florczyk	Magdalena Łubkowska	Krzysztof Stępień
Andrzej Gierch	Sławomira Barbara Marczyńska	Jolanta Sztejka
Natalia Grudzień	Kacper Mironiuk	Marek Szulakiewicz
Jerzy Cyryl Grupiński	Maria Nowakowska	Elżbieta Vetter
Krzysztof Gołębiewski	Jerzy Nowotczyński	Krystyna Wojciech-Ratajczak
Eleonora Górka	Sławomir Olesiak	Henryk Tokarz
Michał i Zofia Hawełko	Jan Organ	Paweł Wacek
Katarzyna Grażyna Jeziółkowska	Barbara Orlikowska	Iwona Orzechowska-Wiater
Ryszard Jacek Juszczyk	Teresa i Bronisław Pastuszewscy	Tomasz Witkowski
		Joanna Zientecka

RADA REDAKCYJNA:

Rafał Berger, Marek Pietrzak - przewodniczący,
 Wojciech Reszka, Tadeusz Pikul

Nakład 2 000 egz.

